KSIĄŻKI DLA WSZYSTKICH

B. Björnson

BANKRUCTWO

dramat w czterech aktach

przełożył

Adolf Strzelecki

WARSZAWA
NAKŁADEM I DRUKIEM M. ARCTA
1905

Дозволено Цензурою.
Варшава, 23 Марта 1904 года.

OSOBY:

TJALDE, przemysłowiec
PANI TJALDE, jego żona
WALPURGA } ich córki
SIGNE }
HAMAR, porucznik, narzeczony Signy
SANNAS, prokurent Tjaldego
JAKOBSEN, piwowar w browarze Tjaldego
BERENT, adwokat
ZARZĄDCA MASY KONKURSOWEJ
PASTOR
PRAM, poborca cłowy
KONSUL LIND
,, FINNE
,, RING
PRZEMYSŁOWIEC HOLM
,, KNUTZEN
,, KNUDSEN
,, FALBE
(konsulowie Finne i Ring oraz przemysłowcy Holm, Knutzen, Knudsen, Falbe — goście)

Akt I.

W domu Tjaldego.

Duży pokój z otwartą werandą, zastawioną kwiatami i porośniętą pnącemi się roślinami. Rozległy widok na morze.

W dali widać okręty płynące, w lekkim podmuchu wiatru przesuwające się po morzu pomiędzy gromadą skalistych wysepek.

Duża łódź żaglowa, z rozpiętemi żaglami, widoczna po prawej stronie werandy.

Pokój umeblowany z wielką elegancją, zastawiony mnóstwem kwiatów.

Po lewej stronie dwa okna sięgające aż do posadzki; po prawej stronie dwoje drzwi.

W pośrodku pokoju stół, wokoło stołu fotele na biegunach, foteliki i t. d. W głębi po prawej stronie sofa.

SCENA I.

SIGNE, HAMAR, później PANI TJALDE,
w końcu WALPURGA.

HAMAR (*leżąc na sofie*). Co będziemy dziś robili?

SIGNE (*huśtając się w bujającym fotelu*). Hm!... (*Pauza*).

HAMAR. Wycieczka łodzią dzisiejszej nocy była bajeczna. (*Ziewa*) Ale za to teraz jestem zmęczony... Możeby kazać osiodłać konie i pojechać na spacer?

SIGNE. Hm... (*Pauza*).

HAMAR. Tu na sofie zaczyna być za gorąco... Myślę, że dobrze będzie, jeśli usiądę gdzieindziej. (*Czyni tak, jak mówi*).

SIGNE *nie zaprzestając huśtania się w fotelu, zaczyna nucić pod nosem.*

HAMAR. Zagraj cokolwiek.

SIGNE (*napół nucąc*). Fortepian jest rozstrojony.

HAMAR. To trochę poczytaj głośno.

SIGNE *(jak wyżej, zaglądając przez okno).* Konie popędzili do wody, żeby się wykąpały. By się wykąpały, konie popędzili do wody. Do wody popędzili konie, by się wykąpały.

HAMAR. Może najmądrzej zrobię, jeżeli także pójdę się wykąpać... A może lepiej zaczekać z tem do południa...

SIGNE (*jak wyżej*). To i lepiej, lepiej, lepiej. Będziesz miał apetyt lepszy, lepszy, lepszy.

Pani Tjalde *wchodzi powoli przez drzwi z prawej strony.*

Hamar. Wygląda pani, jakby była strasznie zafrasowana.

Pani Tjalde. Ach, sama nie wiem, co zrobić.

Signe (*jak wyżej*). Czy masz obiad na myśli, mamo?

Pani Tjalde. Tak. Nie wiem co kazać zrobić na obiad.

Hamar. Czy będą goście na obiedzie?

Pani Tjalde. Tak jest. Ojciec pisze, że pan Finne przyjedzie na obiad.

Signe (*przestaje nucić*). No, nudniejszego gościa nawet sobie wyobrazić nie można.

Pani Tjalde. Jak wam się zdaje? możeby łososia z wody i kurczęta z rożna?

Signe. Przecież niedawno mieliśmy to na obiad.

Pani Tjalde (*wzdycha ciężko*). Tak. Wszystko niedawno. Ale tutaj nic teraz na targ nie przynoszą!

Signe. W takim razie musimy z miasta sprowadzić to co potrzebne.

Pani Tjalde. Ach to jedzenie, to jedzenie!

Hamar (*ziewając*). Zdaje mi się, że to jeszcze najlepsze i najmądrzejsze ze wszystkiego na świecie.

Signe. Tak. Rzeczywiście Ale naturalnie tylko samo zjadanie, kiedy się zasiądzie już do gotowego. Bo te wszystkie kłopoty o przygotowanie i podanie... Nie! O to ja się nigdy nie będę troszczyła!

Pani Tjalde (*siadając przy stole*). Jeszcze mniejsza o przygotowanie i podanie... Ale największa troska o to, co kazać zrobić? Zawsze myśleć coraz o czemś innem i czemś nowem.

Hamar. Dlaczego państwo nie posłuchaliście mojej rady—a tyle razy radziłem, żeby wziąć specjalistę kucharza z wielkiej jakiej restauracji albo z hotelu?

Pani Tjalde. Próbowaliśmy i tego! Tylko było jeszcze więcej kłopotów, trosk i pracy!

Hamar. Bo mu brakło konceptu i nie miał pomysłowości... Ale przyjmijcie kucharza francuza!

Pani Tjalde. W takim razie musiałabym nieustannie być przy nim, żeby mu każde słowo tłómaczyć. — Nie, ja sobie z temi gospodarskiemi kłopotami nie dam

nigdy rady... A teraz w dodatku od jakiegoś czasu męczy mnie okropnie tyle latania z kąta w kąt.

HAMAR. Swoją drogą, nigdzie nie słyszałem, żeby tyle mówiono o jedzeniu, ile w państwa domu się mówi.

PANI TJALDE. Widocznie nigdy nie bywałeś pan w zamożnych domach bankierów, przemysłowców albo kupców. Nasi znajomi to prawie wyłącznie kupcy i przemysłowcy, — a przeważna ich część nie zna większej przyjemności nad dobry stół.

SIGNE. Rzeczywiście. Nie mają innej przyjemności.

PANI TJALDE. Ty dziś włożyłaś tę suknię?

SIGNE. Tak.

PANI TJALDE. Przecież masz inną na powszedni dzień.

SIGNE. Nie miałam w co się ubrać, skoro Hamar nie cierpi ani popielatej, ani niebieskiej. Więc cóż miałam zrobić?

HAMAR. Ja wcale nie powiedziałem, żeby ta mi się podobała lepiej od innych.

SIGNE. A więc cóż zrobić? — W takim

razie sam musisz mi wybrać taką, jaka ci się podoba.

HAMAR. Owszem. Tylko trzeba pojechać do miasta.

SIGNE. Tak mamo. My oboje—Hamar i ja — przyszliśmy do przekonania, że musimy wybrać się do miasta.

PANI TJALDE. Byliście przecież tylko co... przed czternastu dniami zaledwie.

HAMAR. Tak. Więc właśnie o czternaście dni później wybieramy się znowu.

PANI TJALDE (*zamyślona*). Wszystko to pięknie i ładnie, ale co ja mam kazać dziś zrobić na obiad?

(*Walpurga wchodzi zwolna przez werandę*).

SIGNE (*odwróciła się właśnie w tę stronę*). Oto nadchodzi jej wysokość.

HAMAR (*odwraca się również ku werandzie*). Ach! Z kwiatami w ręku... Ach! Ja już ten bukiet gdzieś widziałem...

SIGNE. Tak? Możeś go nawet sam jej ofiarował?

HAMAR. Nie. Tylko przechodziłem przez lasek — i tam w gaju Walpurgi le-

żały te kwiaty na stole... Czy to dziś może twoje urodziny?

Walpurga. Nie.

Hamar. Ja też wiedziałem o tem doskonale... Ale może to jaka inna uroczystość?

Signe (*wybucha nagle śmiechem*). Ha, ha, ha, ha!

Hamar. Z czego się śmiejesz?

Signe. Rozumiem! Rozumiem! Wiem już! Ha, ha, ha, ha!

Hamar. Co wiesz?

Signe. Wiem, czyje to ręce ozdobiły ten ołtarz! Ha, ha, ha, ha!

Hamar. Prawdopodobnie posądzasz mnie o to? Co?

Signe. Nie. Były to ręce o wiele więcej opalone i czerwieńsze niż twoje! Ha, ha, ha, ha!

(*Walpurga rzuca kwiaty na ziemię*).

Signe. Niezdrowo jest śmiać się tyle w taki upał! Ale w każdym razie to przepyszna historja! To bajecznie zabawne! Czyś ty się już także domyślił nareszcie? Ha, ha, ha, ha!

Hamar (*ubawiony i uradowany*). Czyżby to był...

SIGNE (*również rozbawiona i uradowana*). Tak! Tak. Z pewnością! Musisz wiedzieć przedewszystkiem, że moja siostra...

WALPURGA. Signe!

SIGNE. ...która mnóstwo koszów już porozdawała, pozwoliła nareszcie, aby jej kosze napełniała para rąk bardzo czerwonych!... Ha, ha, ha, ha!

HAMAR. To Sannas?

SIGNE. Naturalnie!... (*pokazuje przez okno*) Patrz! Tam stoi ów grzesznik!... Czeka na ciebie siostro moja, aby cię zobaczyć, gdy będziesz kroczyła wolno w rozmarzeniu i zadumie.... tak... właśnie tak, jakeś tu weszła rzeczywiście!

PANI TJALDE (*wstaje od stołu*). Nie, on czeka na ojca. A więc widział, że ojciec przybywa. (*Wychodzi na werandę*).

SIGNE (*zagląda przez okno*). Tak. To ojciec przyjechał. Jedzie na kasztanku.

HAMAR (*wstając szybko*). Na kasztanie! Chodź! Pójdziemy naprzeciw i powitamy kasztanka!

SIGNE. N—n—nie!

HAMAR! Co? Nie chcesz pójść powitać kasztanka?... W sercu żony kawa-

lerzysty pierwsze miejsce po mężu należy się jego koniowi!

Signe. A w sercu kawalerzysty pierwsze miejsce zajmuje koń, a drugie dopiero żona!...

Hamar. Co? Czyżbyś ty była zazdrosna o konia?

Signe. O nie! Ja wiem bardzo dobrze że nigdy dla ciebie tyle znaczyć nie będę, ile kasztanek.

Hamar. No chodźże! (*podnosi ją z krzesła*).

Signe. Ależ ja nie jestem spragniona widoku kasztanka.

Hamar. Dobrze. W takim razie sam pójdę!

Signe. O nie! W takim razie ja idę z tobą!

Hamar. Walpurgo, a ty nie pójdziesz powitać kasztanka?

Walpurga. O nie! — Zresztą jeżeli mam kogokolwiek witać, to w każdym razie nie konia, lecz ojca!

Signe (*oglądając się przy wyjściu*). A naturalnie także i t e g o pana! (*Wybiega szybko razem z narzeczonym*).

SCENA II.

WALPURGA, SANNAS.

WALPURGA przystępuje do pierwszego okna po lewej stronie i wygląda przez nie. Twarz jej jest tak biała, jak firanka zwieszająca się nad oknem; przysłania ją statua ustawiona pod oknem i grupa kwiatów.

SANNAS wchodzi przez drzwi po prawej stronie. Niesie w ręku małą torebkę podróżną i pled. Kładzie jedno i drugie na krześle przy drzwiach. Odwracając się, spostrzega bukiet leżący na ziemi, podchodzi ku niemu na przód sceny.

SANNAS. Tu leżą... Czy ona je zgubiła, czy też wyrzuciła umyślnie? Wszystko jedno! Bądź co bądź ona miała je w ręku. (*Podnosi kwiaty z ziemi, całuje je i chce schować do kieszeni na piersiach*).

WALPURGA (*występując na środek sceny*). Zostaw pan! Niech leżą!

SANNAS (*wypuszczając kwiaty z rąk*). Pani tu!... Nie zauważyłem...

WALPURGA. ...Ale ja zauważyłam co pan chcesz zrobić. Jak pan śmiesz prześladować mnie swojemi kwiatami i swojemi—czerwonemi rękami! (*Sannas chowa ręce za siebie*). Jak pan możesz

ośmielać się ciągle napastować mnie swojemi spojrzeniami, do tego stopnia, że cała moja rodzina, cały dom, a naturalnie i całe miasto śmieje się i drwi ze mnie?

Sannas. Ja... ja... ja...

Walpurga. Ja, ja, ja! Ale moje «ja» pana nic a nic nie obchodzi. O to, co mnie dotyczy, nie dbasz pan ani trochę! Panie! Jeśli nie zaprzestaniesz pan tej zabawki, to ja natychmiast postaram się o to, żebyś pan raz na zawsze opuścił nasz dom!... Idź pan teraz... zanim ktokolwiek tu wejdzie!

Sannas *odwraca się i trzymając ręce przed sobą wychodzi przez werandę.*

SCENA III.

Tjalde, Pani Tjalde, Hamar, Signe, Walpurga.

Jeszcze zanim wejdą, od drzwi od werandy słychać głosy Hamara i Tjaldego.

Tjalde. Tak jest. To prześliczne stworzenie.

Hamar. Śliczne? Ależ kochany panie,

ja twierdzę, że w całym kraju nie znajdziesz ani jednego konia, któryby się z nim mógł równać.

Tjalde. Bardzo być może!... Czyś pan zauważył? — Ani trochę nie spocił się. Ani jednego mokrego włoska!

Hamar. Ma oddech długi jak wieloryb! A co za figura! Jaka główka, jakie to nogi, pęciny, odsada, co to za pierś... podobnie zbudowanego konia nie znajdzie chyba na całym świecie!

Tjalde. Tak! Śliczne zwierzę... Czyś to pan wyjeżdżał łodzią na morze? (*Zatrzymuje się u drzwi od werandy i patrzy na dużą łódź żaglową. Pani Tjalde wychodzi pierwszemi drzwiami po prawej stronie*).

Hamar. Jeździłem wczorajszej nocy. Wybrałem się tam naokoło tych wysp. Wróciłem dopiero dziś raniutko — razem z rybakami. — Cudownie się udała wyprawa!

Tjalde. Trzeba mieć czas na takie przyjemności!

Hamar. To urojenie! Że też pan nigdy czasu mieć nie chcesz!

TJALDE. No... czas by się jeszcze może znalazł... ale ochoty brak...

SIGNE. A jak się powiodło tam, skąd ojciec wraca?

TJALDE. Hę?

WALPURGA. Dzień dobry ci, ojcze.

TJALDE. Dzień dobry!...

HAMAR. Nic się nie da uratować?

TJALDE. Na razie nic... A o to właśnie głównie chodziło.

HAMAR. A więc po bankructwie, po zlikwidowaniu tego całego interesu, nic panu nie pozostanie prócz kasztanka?

TJALDE. A czy pan wiesz, że ten koń kosztuje mnie teraz piętnaście do dwudziestu tysięcy talarów?

HAMAR. No — to też to jedyna jego wada! — Zresztą majątek pozwala panu na taki zbytek. Przytem kasztanek ten jest nieoceniony. Poprostu nie można oznaczyć jego ceny!

TJALDE *odwraca się, kładzie kapelusz i zarzutkę na krześle, zdejmuje rękawiczki.*

SIGNE. Wiesz, że to rozkosz patrzeć na ciebie, kiedy mówisz o koniach! Z jakim to zapałem, entuzjazmem! Chyba

to jedyna rzecz, która wogóle może w tobie obudzić zapał!

Hamar. Tak! Gdybym nie był kawalerzystą, chciałbym być koniem!

Signe. A czemże bym ja wtedy być musiała?

Walpurga (*przechodząc mimo nich*). «Gdybym ja była siodłem na twym grzbiecie, gdybym ja była batem, co cię siecze...

Hamar. A gdybym ja był kwiatem w twoich... (*sam do siebie*) «rękach». Nie. Chciałem coś do rymu, a to się nie rymuje..!

Tjalde (*przeszedłszy ku przodowi sceny, zwraca się do swej żony, która właśnie weszła przez drzwi z prawej*). A jakże ty się czujesz?

Pani Tjalde. Źle! Z każdym dniem ciężej mi chodzić!

Tjalde. Ach Boże! Tobie zawsze czegoś brakuje... Dasz mi co zjeść?

Pani Tjalde. Naturalnie! Już dawno przygotowane—czeka na ciebie. (*Służąca wchodzi, niosąc tacę z przekąską; stawia ją na stole*).

Tjalde. O to dobrze! To mnie cieszy.

Pani Tjalde. Nalać ci może filiżankę herbaty?

Tjalde. Nie, dziękuję.

Pani Tjalde (*siada przy mężu i nalewa mu kieliszek wina*). A jakże tam stoją rzeczy,—u Mullerów?

Tjalde. Mówiłem już, — źle!

Pani Tjalde. Nie słyszałam tego.

Walpurga. Dzisiaj dostałam list od Nanny. Opisuje wszystko, co się tam działo, nikt z rodziny nie przeczuwał nic złego, gdy komisja sądowa przybyła— i opieczętowała wszystko.

Tjalde. Tak, miały się tam rozgrywać oburzające sceny.

Pani Tjalde. Czy on sam ci o tem opowiedział?

Tjalde (*jedząc*). Nie. Zresztą ja wcale z nim nie rozmawiałem.

Pani Tjalde. Ależ...? Przecież was łączy taka dawna przyjaźń!

Tjalde. Ba!... Przyjaźń!... On siedzi nieruchomo, na pół obłąkany i zidjociały... Zresztą rodzina jego dosyć mi opowiedziała... Wogóle nie wybrałem się tam do nich na jakąś pogawędkę i słuchanie opowiadań.

SIGNE. Ale to musiało być smutne? Co?

TJALDE (*ciągle jedząc*). Straszne.

PANI TJALDE. Z czegóż oni teraz żyją?

TJALDE. Masa konkursowa ich żywi... rozumie się.

SIGNE. A wszystko co mieli?

TJALDE. Sprzedane.

SIGNE. Wszystko? To całe piękne ich urządzenie... te meble, te powozy, te...?

TJALDE. Sprzedane. Wszystko sprzedane.

HAMAR (*przysunąwszy się do rozmawiających*). A zegarek? On miał najpiękniejszy zegarek, jaki widziałem kiedykolwiek w życiu, — naturalnie oprócz mojego.

TJALDE. Wszystkie klejnoty... musiały być oddane... do masy konkursowej. Nalej mi jeszcze trochę wina... gorąco mi i mam pragnienie.

SIGNE. Biedni ludziska!

PANI TJALDE. Gdzie oni teraz mieszkają?

TJALDE. W domu jednego ze swych dawnych majtków. Mieszczą się w dwóch małych izbach i kuchence.

SIGNE. W dwóch pokoikach i kuchni! (*pauza*).

PANI TJALDE. Ale co oni zamierzają począć teraz z sobą?

TJALDE. Trzeba będzie składkę urządzić, ażeby Mullerowa mogła objąć zarząd gospodarstwem w klubie.

PANI TJALDE. A więc będzie musiała jeszcze więcej zajmować się kuchnią i gotowaniem, niż dotychczas.

SIGNE. Czy nie kazali kłaniać się nam?

TJALDE. Tak... wistocie... Tylko że ja na to już nie zwracałem uwagi.

HAMAR (*wracając z werandy, na której stał przez chwilę, wygląda w dal*). Ale Muller... co on mówi na to wszystko? Co on robi?

TJALDE. Słyszałeś przecież, że ja nic nie wiem!

WALPURGA (*która podczas ostatniej wymiany pytań i odpowiedzi przechadzała się po pokoju, przystając od czasu do czasu*). Przecież on dotąd dosyć już mówił i robił.

TJALDE (*który dotychczas nieprzerwanie zajadał, popijając wino, zwraca na-*

gle baczną uwagę na słowa Walpurgi). Co ty przez to chcesz powiedzieć?

Walpurga. Że gdybym ja była jego córką, tobym mu nigdy w świecie nie przebaczyła.

Pani Tjalde. Moje dziecko! Jak możesz mówić coś podobnego!

Walpurga. Ciekawa jestem, dlaczegobym nie miała wypowiedzieć, co myślę? Człowiek, który taką hańbą splamił swoją rodzinę i wtrącił ją w takie nieszczęście,—nie zasługuje na to, by go oszczędzano.

Pani Tjalde. Wszystkich ludzi należy oszczędzać. I nas także!

Walpurga. Tak jest — ale tylko pod pewnym względem i w pewnym kierunku! A ja chciałam tylko powiedzieć,—że mojego szacunku, mojego przywiązania taki człowiek, jak on, odzyskaćby nie mógł nigdy. Bo ta krzywda, którąby on mi wyrządził, byłaby zbyt okropnem, zbyt dotkliwem upokorzeniem.

Tjalde (*przestaje nagle jeść; powstaje z krzesła*). Upokorzeniem?!...

Pani Tjalde. Czyś już skończył?

Tjalde. Tak.

Pani Tjalde. Nie będziesz więcej pił wina?

Tjalde. Mam już dosyć! Słyszysz przecież!... Upokorzeniem!? Jak ty to rozumiesz?...

Walpurga. Nawet wyobrazić sobie nie mogę większej krzywdy, dotkliwszego upokorzenia jak poczucie, żem była zmuszoną zajmować stanowisko społeczne i towarzyskie, które mi się nie należało, zdobyte i utrzymywane w posiadaniu—kłamstwem,—do tego stopnia, że nic nie było mojem, nawet otoczenie moje, nawet ludzie, z którymi żyłam, bo wszystko to oparte było na fałszywych, kłamliwych przesłankach. Moja własna istota, moja własna suknia, stałaby się w takich warunkach kłamstwem!...

Dajmy na to wreszcie, że czułabym potrzebę wyzyskania swego stanowiska, jako córki bogatego człowieka, —że czułabym potrzebę wyzyskania tego stanowiska doszczętnie, zupełnie, aż do ostatnich granic... W dniu, w którym odkryłabym i przekonałabym się, że wszystko co ojciec mój dał mi, było owocem kradzieży,—było, poprostu skradzione — że

wszystko, w co on mi kazał wierzyć, było kłamstwem tylko... w tym dniu moje oburzenie, mój wstyd, nie miałyby granic!

Pani Tjalde. Moje kochane dziecko. Nie masz jeszcze najmniejszego doświadczenia życiowego! Ty nie wiesz, jaką drogą to wszystko przyjść może, nagle, niespodziewanie... Mój Boże! Ty nawet nie wiesz co mówisz.

Hamar. No, — swoją drogą Muller zupełnie zasłużył na to, co go spotkało. Szkoda tylko, że mu nikt tego w oczy nie powiedział!

Walpurga. Owszem. Usłyszał to na własne uszy. Nanna wypowiedziała mu to wszystko w oczy.

Pani Tjalde. Co? Własna córka? Ojcu?!—Dzieci! I wy o takich rzeczach pisujecie do siebie w listach?! Niechże Bóg wam to przebaczy obydwóm!

Walpurga. On przebaczy nam z pewnością to, że nigdy nie ukrywamy prawdy i tego co myślimy.

Pani Tjalde. Dziecko! Dziecko moje!

Tjalde (*zbliżając się do Walpurgi*). Najmniejszego pojęcia nie masz o tem,

co to jest handel i przemysł:—dziś powodzenie, jutro nieszczęście.

WALPURGA. W to nigdy nie uwierzę, żeby handel, przemysł nie był niczem innem jak tylko grą w loterję.

TJALDE. Solidny handel i przemysł nie jest nią rzeczywiście wcale.

WALPURGA. To też ja potępiam tylko niesolidny i nieuczciwy.

TJALDE. Ale nawet i najuczciwszy przechodzić musi czasami kryzys bardzo ciężki.

WALPURGA. Ale takich przejść, takich zawikłanych i trudnych sytuacji uczciwy człowiek nie tai i nie ukrywa nigdy przed swoją rodziną, albo przed swoimi wierzycielami... Boże! Jakże ten Muller oszukał strasznie tych co mu są najbliżsi!

SIGNE. Walpurga nieustannie mówi o handlu i przemyśle...

WALPURGA. Tak jest. Bo to są rzeczy, które zajmowały i obchodziły mnie zawsze, od dziecka jeszcze. I z tem się bynajmniej nie taję.

HAMAR. Żeby sobie wyrobić zdanie o postępowaniu Mullera, na to nie potrzeba wcale jakiejś gruntownej wiedzy

handlowej, było ono zrozumiałe całemu światu,—tak samo jak postępowanie jego rodziny! Nikt nie żył na takiej stopie zbytku jak właśnie Mullerowa. Kiedy dziś jeszcze przypomnę sobie rozmaite toalety Nanny, — naprzykład tren u jej sukni...

WALPURGA. Nanna jest moją najlepszą przyjaciółką. To też proszę powstrzymać się od wszelkich uwag o niej.

HAMAR. Wasza wysokość raczy mi pozwolić na skromniutką uwagę, że można być córką bardzo bogatego człowieka, a mimo to być trochę mniej zarozumiałą, pyszną i arogancką niż jest... ta osoba, której imienia nie wolno mi wypowiedzieć.

WALPURGA. Nanna nie jest ani zarozumiałą, ani arogancką. To dusza szczera na wskroś... tylko że miała zdolność być tem, czem jej się zdawało że jest: — córką bogatego czlowieka.

HAMAR. Ciekawy jestem, czy teraz będzie miała także talent być córką bankruta?

WALPURGA. Ma talent po temu. Dowiodła już tego. Sprzedała wszystko.

Wszystkie swe klejnoty, wszystkie swe suknie, wszystkie drobiazgi, które były jej własnością, oddała na licytację. Wszystko co dziś ma na sobie, kupiła za pieniądze zdobyte własną pracą, albo też pożyczyła od tych, którym odda, gdy sama zarobi.

Hamar. A wolno mi zapytać waszą dostojność, czy sprzedała także i swe pończochy?

Walpurga. Wszystko oddała na licytację.

Hamar. Gdybym był o tem wiedział, byłbym z pewnością stawił się na licytację tak ponętnych przedmiotów.

Walpurga. No,— było tam sporo rzeczy ponętnych i zachwycających... a z pewnością nie brakło też próżniaków, którzy się nie wstydzili swego próżniactwa i swej ciekawości.

Pani Tjalde (*siedząc zawsze jeszcze przy stole*). Dzieci! Dzieci!

Hamar. Co do próżniactwa, to zapewne panna Muller posłała i swoje próżniactwo na sprzedaż? Bo tak wielkich zapasów tego artykułu chyba nikt nie

miał. Ja przynajmniej u nikogo nie widziałem podobnie wielkiej ilości.

Walpurga. Wierząc, że jest córką bogatego człowieka, sądziła, że nie jest obowiązaną do pracy.

Tjalde (*przystępując do Walpurgi*). Ale wróćmy lepiej do właściwego tematu. Nie zwracasz wcale uwagi na jedno, że kupiec zawsze z dnia na dzień żyć może nadzieją. Nieustannie może się spodziewać i codzień nowe nadzieje budzą się w nim. A mimo to nie jest on bynajmniej oszustem. Jest sangwinikiem, — jeżeli zgodzisz się na to — nawet poetą, marzycielem, żyjącym w świecie swej wyobraźni, — a czasem może istotnym rzeczywistym genjuszem, który odkrywa nowe światy, o których innym ludziom się nie śniło i których ci inni ludzie dojrzeć nie mogą.

Walpurga. Mnie się zdaje, że tu nie ma żadnego nieporozumienia. Ja to rozumiem doskonale. Tylko zdaje mi się, że ciebie, ojcze, nie rozumiem. Czy to, co ty nazywasz nadzieją, poezją, jasnowidzeniem genjusza, nie jest spekulowaniem cudzą własnością? Naturalnie, jeśli

człowiek spekulujący ma więcej długów niż majątku.

Tjalde. A właśnie najtrudniejsze ze wszystkiego jest wiedzieć, kiedy ma się więcej długów, a kiedy więcej majątku.

Walpurga. Tak?... A przecież mnie się zdaje, że prowadzi się książki, rachunki...

Tjalde. Naturalnie, że każdy prowadzi książki, — w nich są spisane aktywa i passywa. Ale wartości wszystkie są niestałe, zmienne, wznoszą się, spadają. W dodatku zawsze jest jakaś spekulacja w toku, o której w książkach żadnej wzmianki niema, a która właśnie zmienić może cały stan interesów.

Walpurga. Skoro jednak jest niezbicie pewne, że passywa przewyższają aktywa, w takim razie bezwarunkowo spekuluje się cudzemi pieniędzmi.

Tjalde. No,—tak—jeśli chcesz koniecznie. Ale w każdym razie nie są to pieniądze ukradzione komukolwiek, tylko powierzone w zaufaniu.

Walpurga. Powierzone, ale w zupełnie fałszywem przekonaniu, bo w zaufa-

niu, że ten, komu one są powierzone, jest wypłacalnym.

TJALDE. Tak. Ale on temi powierzonymi w zaufaniu pieniędzmi może wszystko i wszystkich uratować.

WALPURGA. To go wcale nie usprawiedliwia i nie oczyszcza z winy, że pieniądze te pozyskał kłamstwem.

TJALDE. Sądzisz bardzo surowo i używasz trochę za ostrych wyrażeń.

PANI TJALDE, *która przedtem córce dawała kilkakrotnie znaki, znów powtarza to samo; Walpurga widzi znaki dawane jej przez matkę, ale nie zwraca na nie uwagi.*

WALPURGA. W takim wypadku milczenie jest kłamstwem.

TJALDE. A cóż ten człowiek ma wtedy zrobić? Czy ma grać dalej otwartemi kartami i w ten sposób zniszczyć do szczętu nietylko siebie, ale i tych wszystkich, którzy mu zaufali?

WALPURGA. Jego obowiązkiem jest szczerze i otwarcie przedstawić stan swoich interesów tym wszystkim, który są zaangażowani w jego przedsiębiorstwie.

TJALDE. Ba! — To by miało tylko ten

skutek, że rok rocznie bankrutowało by z tysiąc firm więcej niż obecnie... Straty materjalne nie dały by się już obliczyć!... Tak, dziecko moje! Masz dobrą i otwartą głowę, tylko, że pod pewnemi względami jeszcze trochę za ciasny widnokrąg... Gdzie są gazety?

SIGNE (*która przechadzała się po pokoju, a ostatecznie na werandzie pogrążyła się w czułą rozmowę z narzeczonym, powraca teraz i odpowiada na pytanie ojca*). Zaniosłam je na dół do kantoru. Nie mogłam się przecież domyśleć, że ojciec zostanie tutaj i tu będzie je czytał.

TJALDE. Daj mi spokój z całym kantorem!... przynieś mi je tutaj.

SIGNE *wychodzi; porucznik* HAMAR *wychodzi z nią razem.*

PANI TJALDE (*cicho do Walpurgi, która chce również się oddalić*). Dlaczego ty mnie nie słuchasz, dziecko!

WALPURGA *wychodzi na werandę; staje przy balustradzie, opiera się o nią, głowę opuszcza na dłonie i zamyślona patrzy w dal.*

TJALDE. Zdaję mi się, że trzeba włożyć

inny surdut... Ach, nie. Jeszcze czas na to. Do obiadu daleko.

PANI TJALDE. Obiad! A ja tu — siedzę ciągle i nie ruszam się!

TJALDE. Czy będziemy mieli gości?

PANI TJALDE. Rozumie się... Czyś już zapomniał?

TJALDE. Ach, prawda!

PANI TJALDE (*wychodząc*). Tylko, na miłość boską, co ja mam kazać zrobić na obiad?

TAJLDE *chodzi chwilę po pokoju; widząc, że jest sam, siada w fotelu; twarz jego przybiera wyraz zmęczenia i cierpienia; wzdycha i zasłania twarz rękami.*

SIGNE *i* HAMAR *powracają. Signe niesie kilka gazet. Hamar chce wyjść znów na werandę, lecz Signe pociąga go za sobą ku przodowi sceny.*

SIGNE. Tu, papo, są...

TJALDE. Kto? Co?

SIGNE (*zdziwiona*). Ależ gazety!...

TJALDE. Dobrze. Daj je! (*Bierze z rąk jej gazety, rozwija je—są to przeważnie dzienniki zagraniczne; Tjalde przegląda je pobieżnie, a szybko zwracając tyl-*

ko uwagę na główne artykuły giełdowe).

Signe (*po dłuższych szeptach z narzeczonym*). Papo...!

Tjalde (*ciągle przeglądając zestawienia giełdowe i szukając w nich czegoś*). Co takiego?... (*sam do siebie*, *boleśnie*). Spadają, ustawicznie spadają!

Signe (*jak wyżej*). Hamar i ja chcielibyśmy bardzo pojechać do ciotki Ulli...

Tjalde. Przecież zaledwie przed czternastu dniami byliście w mieście. Wczoraj właśnie dostałem rachunek. Czyś go widziała?...

Signe. Przecież to zupełnie niepotrzebne... skoro ty go przejrzysz, papo!... Dlaczego tak wzdychasz?

Tjalde. Ach... Bo widzę, że ceny zawsze jeszcze są nizkie; zamiast pójść w górę, spadają coraz bardziej.

Signe. Et... A cóż to ciebie może obchodzić?... O, znowu wzdychasz! Teraz najlepiej możesz sam odczuć, jakto nie miło kiedy najgorętsze nasze życzenia nie spełniają się!... Ale ty nie będziesz taki okrutny wobec nas,—prawda papo?

Tjalde. Nie, moje dzieci, to niemożliwe.

SIGNE. Dlaczego niemożliwe?

TJALDE. Dlatego, że... No, choćby dlatego, że teraz podczas lata, co chwila, to ten, to ów, do nas przyjeżdża... a, trzeba żeby ktoś zajął się gośćmi, zabawił ich.

SIGNE. Ależ to właśnie najtrudniejsze, co być może! Dla Hamara i dla mnie to właśnie są najstraszniejsze nudy.

TJALDE. A czyż wy sobie wyobrażacie, dzieci, że wszystko co ja muszę robić jest przyjemne i zabawne?

SIGNE. Ależ papo, ty stajesz się nagle wprost uroczystym. A to ci nie do twarzy, papo; trochę komicznie z tem wyglądasz!

TJALDE. Serjo ci mówię, moje dziecko, że dla właściciela tak wielkiego domu handlowego, jak nasz, z tak ogromnie rozgałęzionemi stosunkami, to rzecz bardzo ważna, aby ludzie ze wszystkich stron przybywali i aby każdemu było dobrze w moim domu! Tyle przynajmniej przecież możecie dla mnie zrobić, zdaje mi się!

SIGNE. Ależ w takim razie, Hamar i ja nigdy nie będziemy mogli być sam na sam z sobą.

TJALDE. Mnie się zdaje, że wy właśnie wtedy, kiedy jesteście sam na sam z sobą, to się najwięcej kłócicie.

SIGNE. My?—Kłócimy się?—My?—Kiedy?—Jakich ty brzydkich słów używasz, papo.

TJALDE. A zresztą, właśnie w mieście nie możecie być sam na sam.

SIGNE. O tam! — Tam zupełnie co innego!

TJALDE. No i mnie się tak zdaje!—Sądząc wedle tego, ile pieniędzy zawsze tam wyrzucicie!

SIGNE (*śmiejąc się*). Tyle pieniędzy wyrzucamy?! — A cóż mamy innego do roboty? Przecież w tym celu tylko jedziemy do miasta! — Papo!... Daj się wzruszyć! Pozwól! Mój papuniu najdroższy...

TJALDE. Nie! dziecko. Nie.

SIGNE. Taki niedobry jeszcze nigdy nie byłeś.

HAMAR (*daje narzeczonej znak, by zostawiła ojca w spokoju. Potem szepcze jej do ucha*). Dajże spokój. Przestań już. Przecież widzisz, że ojciec dziś w złym humorze!

Signe (*także szeptem*). Gdybyś ty był mi choć trochę pomógł, to byłby zaraz pozwolił!

Hamar (*jak wyżej*). Et... pod tym względem to ja już jestem trochę mądrzejszy od ciebie...

Signe (*jak wyżej*). Od pewnego czasu jesteś dziwny!.... Nie pojmuję, czego ty chcesz właściwie...

Hamar (*jak wyżej*). Tak. Teraz to ci już może być zupełnie obojętne. — Ale skoro ciebie nie puszczają do miasta, to ja sam jadę.

Signe (*jak wyżej*). Co ty mówisz?

Hamar (*wychodząc ku werandzie*). Mówię, że sam jadę do miasta. Ani myślę włóczyć się tu z kąta w kąt.

Signe (*idąc za nim*). No! Sprobój tylko wyjechać bezemnie (*oboje jedno za drugiem, wychodzą na werandę; z werandy schodzą na prawo*).

Tjalde *wypuszcza gazety z rąk, wzdychając głęboko i boleśnie.*

Walpurga (*zaglądając na prawo z werandy*). Ojcze! (*Tjalde wstrząsa się nerwowo*). Tam idzie adwokat Berent z Chrystjanji.

Tjalde (*wstając z fotelu*). Adwokat Berent? Jest tutaj? Idzie? Koło warsztatów okrętowych?

Walpurga. Tak jest (*wchodzi do pokoju; Tjalde wygląda przez okno*). Mówię ci to dlatego, bo wczoraj widziałam go koło warsztatów ciesielskich, a przed chwilą właśnie koło browaru i w pobliżu fabryki. Stał tam dosyć długo.

Tjalde (*sam do siebie*). Co to ma znów znaczyć? (*głośno*) O tak. On co roku puszcza się w lecie na takie wycieczki to tu, to tam. On to lubi. Ja wiem o tem. No, a tego roku wybrał się widocznie tutaj... chce się przyjrzeć największym zakładom przemysłowym, jakie tu istnieją... Bo zresztą chyba niewiele tu do widzenia... Ale czy to rzeczywiście on? Mnie się zdaje...

Walpurga (*wyglądając przez otwarte okno*). Ależ z pewnością on! Przypatrz się tylko. Przecież to jego chód...

Tjalde. Tak, to jego chód. Nogi stawia trochę na krzyż przed sobą... Tak... to jest on... Ale zdaje się, że tu zdąża—jakby szedł do nas...?

WALPURGA. Nie... Patrz. Skręca w inną stronę.

TJALDE. No, to niechże sobie idzie, gdzie chce! (*sam do siebie, zamyślając się*). Czyżby to rzeczywiście...?

SCENA IV.

TJALDE, WALPURGA, SANNAS wchodzi z prawej strony na werandę, stamtąd do pokoju.

SANNAS. Czy można wejść?

TJALDE. A to pan? Proszę! Można.

SANNAS *wchodząc zauważa Walpurgę, która dotąd stała przy pierwszem oknie po lewej stronie, a teraz postępuje ku środkowi sceny. Drgnął przestraszony ujrzawszy ją i chowa natychmiast ręce za siebie.*

TJALDE. No cóż tam nowego?

WALPURGA *patrzy na ojca, potem na Sannasa, wychodzi na werandę, a potem z werandy schodzi na prawo.*

TJALDE. Ależ człowiecze! Co tam się stało nowego? Pocóżeś pan przyszedł do stu tysięcy!...

Sannas (*gdy Walpurga minęła go, wysuwa ręce przed siebie i patrzy za nią*). Ja tylko wobec panienki nie chciałem się pytać, czy pan przyjdzie dziś do kantoru?

Tjalde. Czyś pan oszalał! I o to pan nie odważasz się pytać w obecności mojej córki?

Sannas. Nie... Ja tylko... Bo gdyby pan nie miał zajść do kantoru, to jabym prosił o chwilę rozmowy tutaj...

Tjalde. Słuchaj no pan! Tej nieśmiałości musisz się pan pozbyć raz na zawsze! Z tem handlowcowi jest źle na świecie. Handlowiec musi być zgrabny, sprytny, ochotny, a nie wolno mu tracić przytomności, mieszać się i zastraszać, gdy się znajdzie wobec jakiej damy. Ja to już nieraz zauważyłem u pana... A teraz mów pan, z czem przyszedłeś? No!... Prędzej!

Sannas. Więc pan dziś przed południem nie przyjdzie do kantoru?

Tjalde. Przecież poczta odchodzi dopiero przed wieczorem.

Sannas. Tak... Rzeczywiście... Ale weksle są.

Tjalde. Weksle? To niemożliwe!

Sannas. Są... czwarty weksel Mullera... ten zaprotestowany już... no i ten wielki angielski.

Tjalde (*wybuchając*). Więc tego jeszcześ pan nie załatwił?... Co to ma znaczyć?

Sannas. Dyrektor banku chciał przedtem osobiście rozmówić się z panem konsulem.

Tjalde. Czyś pan oszalał?!... (*opanowując się*). Nie. Ale tu musiało zajść jakieś nieporozumienie!...

Sannas. I ja tak myślałem, to też rozmówiłem się nietylko z dyrektorem wykonawczym banku, ale i z panem konsulem Holstem...

Tjalde. A konsul Holst?

Sannas. Powtórzył mi to samo.

Tjalde (*chodzi przez chwilę nerwowo wzdłuż i wszerz pokoju, nagle staje*). Ja sam do niego pójdę .. A właściwie nie... Nie pójdę do niego. Bo to zdarzenie, które... Ale mamy przecież chyba jeszcze kilka dni czasu?

Sannas. Tak jest.

Tjalde. ...I dotąd niema jeszcze depeszy od konsula Linda?

SANNAS. Nie.

TJALDE (*sam do siebie*). Tego to już nie mogę pojąć... (*głośno*) Uporządkujemy to już... ale w mieście... Tak. To będzie najlepiej, a potem zostawimy w spokoju ten mały banczek tutejszy... Dobrze panie Sannas! (*wskazuje ręką w dal, mówi sam do siebie*). Ten przeklęty Muller! Wszyscy nagle stali się podejrzliwi! Stracili zaufanie! (*odwracając się, widzi, iż Sannas nie odszedł jeszcze, głośno*). Czy pan jeszcze chce czego odemnie?

SANNAS. Dziś wypłata... a ja nie mam pieniędzy w kasie...

TJALDE. Co? W kasie niema pieniędzy? Taki ogromny interes, a w dniu wypłaty niema pieniędzy w kasie! Co to za porządki, do stu tysięcy djabłów?! Czy ja mam za każdym razem od początku uczyć pana kupieckiego abecadła?... Zaledwie pół dnia mnie nie było! Ani na chwilę nie mogę spuścić z oka czegokolwiek w całym interesie—najmniejszego drobiazgu... I nikogo, absolutnie nikogo nie mam, na kogo bym się mógł spuścić i komu bym mógł zaufać, że dopilnuje

tego, co mu się zleci. — Człowiecze, coś pan tu porobił, jakeś pan gospodarował?

SANNAS. Tak. Był jeszcze trzeci weksel, dzisiaj płatny... Holm i Spółka... dwa tysiące. Niestety, spuściłem się zupełnie na bank... a gdy tam nic nie dostałem... trzeba było wypróżnić kasę... tu i w browarze.

TJALDE (*chodząc wzdłuż i wszerz pokoju*). Hm... hm! hm!... Kto to mógł wbić w głowę konsulowi Holstowi?... Ach, prawda! (*wskazuje ręką w dal*).

SANNAS (*wychodzi na werandę, powraca jednak natychmiast, mówiąc szeptem*). Adwokat Berent z Chrystjanji.

TJALDE (*zaskoczony niespodziewanie*). Tu idzie? Do mnie?

SANNAS. Tak. Właśnie idzie po schodach tutaj! (*wychodzi przez ostatnie drzwi po prawej*).

TJALDE (*woła za nim*). Wino i przekąski... (*szepcze sam do siebie*). A więc stało się to, co przeczuwałem, (*staje przed zwierciadłem i przypatruje się sobie*). Boże, jak ja wyglądam! (*Z wyrazem boleści w twarzy odwraca się od

lustra; potem nagle znów się do niego zwraca, uśmiecha się sam do siebie, szybko podchodzi ku drzwiom od werandy. Widać adwokata Berenta, jak wchodzi zwolna na werandę z lewej strony).

SCENA V.

TJALDE, BERENT.

TJALDE (*uprzejmie, ale zimno i spokojnie*). Wielki to zaszczyt dla mnie, że mogę w domu swoim powitać tak znakomitego człowieka!

BERENT. Czy pan konsul Tjalde?

TJALDE (*zawsze przyciszonym trochę głosem*). Do usług! Ja nim jestem! Mówiła mi już moja najstarsza córka, że widziała pana mecenasa. Spotkała pana na przechadzce w mojej posiadłości.

BERENT. Tak. To rzeczywiście nadzwyczajnie wielka posiadłość. Zupełnie stosowna do tych olbrzymich zakładów przemysłowych, które się na niej znajdują.

TJALDE. Zbyt olbrzymie, panie mece-

nasie. Zanadto rozległe i skomplikowane. Ale jedno pociągnęło za sobą drugie. Stworzywszy to, trzeba było stworzyć i tamto... Ale niechże pan będzie łaskaw usiąść, panie mecenasie.

Berent. Dziękuję... Gorąco dzisiaj... (*Służąca wnosi wino i słodycze, stawia je na stole i wychodzi*).

Tjalde. Pozwoli pan kieliszek wina?

Berent. Nie... Dziękuję...

Tjalde. Może pan przekąsi cokolwiek?

Berent. Dziękuję... Dziękuję. Nie mogę.

Tjalde (*wyjmuje z kieszeni cygarnicę i podaje ją Berentowi*). W takim razie może pan przynajmniej cygaro zapali? A mogę zaręczyć, że nie powstydzę się niem.

Berent. Bardzo lubię dobre cygara, ale w tej chwili muszę sobie odmówić tej przyjemności. Dziękuję panu.

(*Pauza*).

Tjalde (*siada również; jest na pozór zupełnie spokojny i pewny siebie*). Czy pan już dłuższy czas przebywa tutaj?

Berent. Od kilku dni tu jestem... Pan wyjeżdżał, jak mi mówiono?

Tjalde. Tak... To ta nieszczęsna historja Mullera... Po licytacji mieliśmy zebranie w sprawie masy konkursowej.

Berent. Ciężkie teraz czasy przyszły.

Tjalde. Nadzwyczajnie ciężkie.

Berent. Czy pan sądzi, że bankructwo Mullera pociągnie za sobą upadek innych firm, — oprócz tych, które dotychczas ogłosiły niewypłacalność?

Tjalde. Nie. Nie sądzę. Wypadek z Mullerem, to z pewnością pod każdym względem wyjątkowe zdarzenie.

Berent. Ale — tak słyszałem przynajmniej—banki są trochę w strachu. Boją się.

Tjalde. Wyobrażam sobie.

Berent. Tak. Przecież pan zna położenie rzeczy lepiej niż ktokolwiek inny.

Tjalde (*uśmiechając się*). Jestem panu mecenasowi bardzo wdzięczny za tak pochlebną opinję.

Berent. Ale gdyby ceny artykułów eksportowych tej okolicy jeszcze bardziej spaść musiały...?

Tjalde. Tak... O tem nie można tak odrazu wypowiedzieć zdania. Teraz je-

dnak przedewszystkiem trzeba dążyć do tego, aby wszystko szło dalej w normalnym trybie.

BERENT. A więc takie jest pańskie zdanie w tej sprawie?

TJALDE. Bezwarunkowo.

BERENT. Przecież każde przesilenie jest zwykle przejawem czegoś niezdrowego i nienormalnego i to zwykle wyraźnie się uwydatnia?

TJALDE (*uśmiechając się*). A więc dlatego, sądzi pan mecenas, że niczem nie powinno się tamować biegu przesilenia?

BERENT. Tak. Takie jest moje zdanie.

TJALDE. Hm!... W takim razie możeby niełatwo było oddzielić firmy poważne i solidne od firm niepewnych i zachwianych.

BERENT. Czyżby tu rzeczywiście groziło podobne niebezpieczeństwo?

TJALDE. Tak... Proszę pana... Pan ma z pewnością za pochlebne pojęcie o mojej znajomości stosunków... Choć swoją drogą, ja skłaniałbym się raczej do tego poglądu, który pan właśnie wypowiedział.

(*Pauza*).

BERENT. Otrzymałem od syndykatu

bankowego polecenie dokładnego poinformowania się o stanie rzeczy i zdania mu sprawy o sytuacji. — Ale z tego zwierzam się poufnie tylko panu — nikomu więcej.

Tjalde. Bardzo jestem wdzięczny panu mecenasowi za ten dowód zaufania.

Berent. Mniejsze banki — tu w okolicy—przystąpiły również do syndykatu, tak, że wszystkie instytucje finansowe działają w porozumieniu i zgodzie.

Tjalde. Ach!... (*pauza*). A więc pan mecenas już zapewne porozumiał się z konsulem Holstem?

Berent. Naturalnie... (*pauza*). Gdyby tak chciano dopuścić do upadku wszystkie niesolidne domy, a poprzeć całą siłą firmy poważne i pewne... W takim razie sądzę, że z korzyścią firm solidnych byłoby, gdyby zupełnie szczerze i otwarcie przedstawiły syndykatowi stan swoich interesów.

(*Pauza*).

Tjalde. Czy to zapatrywanie podziela również konsul Holst?

Berent. Tak. Jego zapatrywanie jest zupełnie takie same (*pauza*). Dlatego

też poradziłem mu, żeby — na razie, to jest, aż do przedstawienia nam wykazów i ksiąg—wstrzymał dalszy kredyt wszystkim firmom... bez najmniejszego wyjątku.

TJALDE (*jakby nagle rozjaśniła mu się jakaś zagadka*). Aha! Teraz rozumiem!

BERENT. To tylko zarządzenie tymczasowe...

TJALDE (*jak wyżej*). Naturalnie. Rozumie się!

BERENT. ...Które jednak dotknie wszystkich, bez wyjątku.

TJALDE. Doskonale!

BERENT. Bo gdyby nie postąpić jednakowo z wszystkimi, to by łatwo można było obudzić nieraz całkiem nieuzasadnioną może nieufność do niektórych firm.

TJALDE. Podzielam w zupełności pańskie zapatrywanie!

BERENT. To mnie cieszy. A więc sądzę, że pan mi nie weźmie za złe, jeżeli poproszę pana o bilanse jego wszystkich zakładów.

TJALDE. Ależ z największą przyjemno-

ścią będę panu niemi służył, jeżeli tylko oddam tem równocześnie przysługę sprawie ogólnej.

Berent. Za to panu ręczę. Bo tylko w ten sposób będzie można wzmocnić wzajemnie ogólne zaufanie.

Tjalde. A więc kiedy mam doręczyć panu swoje bilanse?—Proszę, niech pan oznaczy, kiedy mam je panu odesłać? Naturalnie, że będą one tylko pobieżne i niezupełnie dokładne...

Berent. Ależ to się rozumie. Jeżeli pan pozwoli, to sam po nie przyjdę.

Tjalde. O, na to nie zgodzę się nigdy w świecie. Może pan je natychmiast otrzymać, jeśli pan tylko sobie tego życzy. — Bo widzi pan, ja mam zwyczaj bardzo często robić podobne zestawienia, rozumie się stosownie do fluktuacji cen...

Berent. Tak?!... (*uśmiecha się*). Mówią zwykle, że oszuści zestawiają bilanse swych interesów trzy razy dziennie — a każdy z tych bilansów jest inny... Tymczasem tu dowiaduję się...

Tjalde (*uśmiecha się*) ...że i ci, co nie są oszustami, mogą także mieć ten brzy-

dki zwyczaj! No, — co prawda — trzech, rozmaitych codziennie, nie zestawiam...

Berent. Ależ naturalnie... Wierzę bezwarunkowo... Przecież to żarty (*wstaje z krzesła*).

Tjalde (*wstaje również*). Naturalnie... Za godzinę będzie pan miał wszystko u siebie w hotelu. Bo przypuszczam, że pan mecenas zamieszkał w jedynym naszym, tak zwanym hotelu... Ale możeby pan raczył przez czas pobytu swego tutaj, zamieszkać w moim domu? Mogę służyć kilku pokoikami, które właśnie są puste...

Berent. Dziękuję panu... Nie wiem, jak długo tu potrwa mój pobyt. A zresztą mam pewne przyzwyczajenia, do których zmusza mnie słaby stan mego zdrowia, a które mogłyby komuś sprawić przykrość. A najbardziej przykroby mi było, gdybym miał być ciężarem komukolwiek.

Tjalde. Ale mogę przecież spodziewać się, że pan mecenas zechce dziś zjeść z nami obiad? Będzie jeszcze kilku panów. Potem może dałoby się urządzić

jakąś wycieczkę łodziami... tam wśród tych wysp jest bardzo pięknie.

Berent. Dziękuję uprzejmie, ale stan zdrowia nie pozwala mi obecnie na branie udziału w ucztach...

Tjalde. He, he, he!... Jednakże gdybym mógł czemkolwiek służyć panu mecenasowi.

Berent. Owszem. Chciałbym prosić pana o dłuższą rozmowę, przed wyjazdem—i to o ile możności, jaknajprędzej.

Tjalde (*trochę niespodzianie zaskoczony*). Pan... Ale zapewne po przeczytaniu moich—bilansów?

Berent. Przeważną część ich dostałem już — tak sobie, cichutko — od konsula Holsta.

Tjalde (*jeszcze bardziéj zdziwiony*). A więc... może dziś jeszcze pan by chciał?...

Berent. I owszem, może tak około piątej?... — Czy to odpowiednia godzina dla pana?

Tjalde. Jestem do pańskiego rozporządzenia. A więc o piątej punktualnie stawię się u pana mecenasa, aby złożyć mu «moje uszanowanie».

Berent. O nie! To ja już wolę o piątej przyjść tu, do pana (*kłania się i odchodzi*).

Tjalde (*idąc za nim*). Ale nie, skoro pan jest niezdrów, panie mecenasie! — Zresztą nie wypada! Pan jest przecież starszy!... Zresztą tak znakomity człowiek.

Berent. W każdym razie lepiej będzie tu u pana. Do widzenia!

Tjalde. Dziękuje bardzo, że pan mecenas był łaskaw zaszczycić mnie!...

Berent. Proszę! Niech pan się już dalej nie fatyguje.

Tjalde. Pozwoli mi pan odprowadzić się!

Berent. Och dziękuję! Ja już znajdę drogę.

Tjalde. Nie wątpię. Ale dla mnie to będzie zaszczytem i przyjemnością.

Berent. Zresztą jak pan chce! (*Gdy podchodzą ku drzwiom od werandy, na schodach zewnątrz pojawiają się głowy Signy i Hamara, którzy trzymając się pod rękę, wchodzą na werandę. U drzwi werandy zatrzymują się wszyscy czworo*).

Tjalde. Pozwoli pan mecenas przed-

stawić sobie: — Moja młodsza córka, — narzeczony jej, Hamar, porucznik kawalerji.

Berent. Zdaje mi się, że teraz kawalerja odbywa ćwiczenia w obozie?

Hamar. Tak. Ale ja jestem na urlopie...

Berent. ...z powodu niecierpiących zwłoki ważnych interesów. Żegnam państwa!

Tjalde. Ha, ha, ha! (*Oboje młodzi ludzie kłaniają się. Berent i Tjalde wychodzą na werandę, z werandy po schodach na lewo*).

SCENA VI.

Hamar, Signe.

Hamar. Bezczelny!... Ale on zawsze taki, wobec wszystkich.

Signe. O ile mogłam zauważyć, to wobec papy nie był...

Hamar. Owszem, i wobec ojca twego był bezczelny.

Signe. Zabraniam ci mówić coś podobnego o moim ojcu!...

Hamar. A cóż ci to szkodzi, kiedy on

drwi z bezczelności jakiegoś tam adwokata?

Signe. Możesz to uważać za objaw dobrego humoru (*siada w bujającym się fotelu i huśta się*.

Hamar. Czy i ty także...? Nie jesteś dziś bynajmniej uprzejma...

Signe (*huśtając się nieustannie*). Masz rację, bo czasem mam już ciebie dosyć i nudzisz mnie.

Hamar. A jednak nie chcesz mi pozwolić samemu jechać do miasta...

Signe. Bo jeżeli pojedziesz, będzie tu jeszcze nudniej.

Hamar. A ja ci teraz jedno tylko powiem: nie zniosę dłużej, żeby się ze mną w ten sposób obchodzono!

Signe. Co mówisz? Nie może być? (*zdejmuje z palca pierścionek i bawi się nim przesuwając go między palcami. Huśta się nieustannie i nuci*).

Hamar. O tem, jaką ty jesteś, nie chcę nawet mówić. Ale przypatrz się tylko kiedykolwiek, jak twoja siostra ze mną się obchodzi... A cóż dopiero ojciec. Czy on choć raz jeden zaproponował, ażebym się przejechał na jego kasztanku?

Signe. Bo ma zapewne co innego na głowie, niż troskę o twoje przyjemności (*nuci coraz głośniej*).

Hamar. Ale bądź-że choć przez chwilę rozsądną!... Musisz przyznać, że nicby nie było naturalniejszego!... Nawet, wiesz, tak prawdę mówiąc, szczerze zupełnie— ja, co przecież mam zostać jego zięciem, a jestem oficerem kawalerji, i wobec tego, że on synów nie ma — czy ja nie powinienbym spodziewać się, liczyć na to z pewnością, że daruje mi tego konia?...

Signe (*wybucha śmiechem*). Ha, ha, ha!

Hamar. Czy to takie głupie?

Signe. Ha, ha, ha!

Hamar. Dlaczego się śmiejesz? Zdaje mi się, że tylko zaszczyt by przyniosło i tobie i twoim rodzicom, gdyby koledzy moi podziwiać mogli mojego konia, a ja gdybym mógł powiedzieć: tego kasztanka dostałem w prezencie od teścia!... Bo wierz mi, że w całym kraju niema takiego konia, to koń nieporównany!

Signe (*przestaje się huśtać*). I dlatego powinienby stać się twoją własnością? Ha, ha, ha!

Hamar. Nie. Na to już nie pozwolę!

Signe. «Nieporównany» porucznik kawalerji na «nieporównanym» kasztanku! To rzeczywiście byłoby nieporównane! Ha, ha, ha!

Hamar. Proszę cię, przestań już!

Signe (*huśtając się znowu*). Wiesz, że bywasz czasem zabawny!

Hamar (*przystępując do niej*). Słuchaj... moja ty! Nikt nie potrafi wymódz tyle na ojcu, co ty. A więc słuchaj... Czy z tobą ani przez chwilę nie można mówić poważnie?

Signe. Ach... tak... poważnie (*znowu zaczyna nucić*).

Hamar. Myślałem już nieraz, że gdyby kasztan był moją własnością, to bym przez całe lato został i ujeżdżał go tak, jak to ja umiem. (*Signe przestaje huśtać się i nucić. Hamar przystępuje tuż do niej, pochyla się nad nią ponad oparcie fotela*). A wtedy nie powróciłbym do miasta, aż dopiero w jesieni... A wtedy razem ze mną i z kasztankiem i tybyś przeniosła się do miasta. Co? Jak sądzisz? Mnie się zdaje, że takby było najlepiej? Co?

Signe (*patrząc nań przez chwilę*). Mój

kochany! Ty zawsze wyobrażasz sobie wszystko w najpiękniejszych barwach!

HAMAR. Prawda?... Ale teraz idzie głównie o to, żebyś ty wydostała tego kasztanka od ojca... Prawda, moja ty słodka, kochana?

SIGNE. I w takim razie ty byś nie opuścił mnie przez całe lato?

HAMAR. Przez całe lato bym się stąd nie ruszył.

SIGNE. Zostałbyś tu i ujeżdżałbyś kasztanka?

HAMAR. Tylko bym kasztanka ujeżdżał.

SIGNE. A potem w jesieni, ja razem z tobą i z nim przeniosłabym się do miasta? Prawda, tak powiedziałeś?

HAMAR. Tak — a czyżby to nie było cudownie?

SIGNE. A czy kasztanek także ma zamieszkać u ciotki Alli?

HAMAR (*śmiejąc się*). Co też ty wygadujesz?

SIGNE. No... Jeśli ty — o ile ja mogę z tego wszystkiego wyrozumieć — tylko ze względu na kasztanka wziąłeś urlop i tylko dlatego chcesz tu pozostać przez

całe lato, żeby ujeżdżać sobie kasztanka... a ja mam tylko towarzyszyć potem tobie i koniowi do miasta, do ciotki Alli...

HAMAR. Ależ czyś ty znowu...?

SIGNE (*odsuwa nagle gwałtownie krzesło wstecz i mówi przez plecy*). Idź precz odemnie!

HAMAR. Czyś ty znowu zazdrosna o kasztanka? (*wybucha śmiechem*). Ha, ha, ha!

SIGNE. W stajni jest najstosowniejsze miejsce dla ciebie! Idź do stajni!

HAMAR. Czy to ma być karą dla mnie? Tam jest zabawniej i weselej.

SIGNE (*rzucając mu pierścionek*). Masz! Zanieś to temu koniowi!

HAMAR. Jak długo i często będziesz mi tak zwracała pierścionek?...

SIGNE. Ach, tyle razy słyszałam to z twoich ust, że mi się już nie chce słuchać. (*Obraca fotel tak, że jest zwrócona plecami do narzeczonego i do publiczności*).

HAMAR. Jesteś rozpieszczony dzieciak, którego nie można brać na serjo. Więc ja nie mogę żadnej wagi przypisywać do

tego, co mówisz, bo bym ci przez to krzywdę wyrządził?

SIGNE. To stara bajeczka, którą słyszałam już sto, tysiąc razy. Idź sobie! Idź!

HAMAR. Ale czy sama nie widzisz jakie to śmieszne, gdy wpadasz nagle w zazdrość o konia? Czy to ktokolwiek kiedy słyszał?

SIGNE (*zrywając się z krzesła*). Ha! Ty możesz mnie do rozpaczy doprowadzić! Wstydzę się za ciebie... (*tupie nogami*). Pogardzam tobą!

HAMAR (*śmiejąc się*). I to wszystko przez konia?...

SIGNE. Nie! Nie! To przez ciebie! przez ciebie i przez ciebie! Czuję się czasem tak nieszczęśliwą, że chciałabym tarzać się po ziemi i płakać głośno! Albo też uciec gdziekolwiekbądź i nigdy nie powrócić już do domu! Nie możesz mnie zostawić w spokoju?! Czy nie możesz pójść sobie odemnie?!

HAMAR. Tak. To też ja i tym razem nie podniosłem z ziemi pierścionka.

SIGNE. I nie podnoś go wcale, tylko

idź sobie, idź, idź, idź nareszcie! (*Wybucha płaczem i siada znów w fotelu*).

Hamar. No to dobrze!... Widzę że właśnie statek parowy przybija do brzegu. Odjadę natychmiast.

Signe. Wiesz bardzo dobrze, tak dobrze jak ja, że statek idzie na zachód. Idźże sobie! (*znowu wybucha płaczem).*

(Mniej więcej w pośrodku widocznego z werandy krajobrazu, po nad wysepkami, ukazują się maszty i kominy parowca. Dym unosi się w górę poprzez czyste przestworze powietrzne. W tejże chwili odzywa się za sceną głos Tjaldego).

Tjalde (*za sceną*). Śpieszcie się! Weźcie łódkę pana porucznika!... jest przygotowana do odjazdu.

Signe (*zrywa się z fotela*). Ktoś widocznie ma przyjechać tym parowcem, bo łódkę wysyłają po niego!

Tjalde (*coraz bliżej*). Przygotuj łódkę!

Hamar (*nadchodzi śpiesznie, podnosi pierścionek, potem szybko powraca i przystępuje do narzeczonej*). Signe!

Signe. Nie! Nie chcę!

Hamar. Ależ dziecko! Co to wszystko

ma znaczyć?! Co ja ci właściwie zrobiłem?

SIGNE. Sama nie wiem. Ale czuję, że jestem okropnie, bezgranicznie nieszczęśliwa! (*Płacze*).

HAMAR. Ależ ja przecież zawsze robię to, czego wymagasz. Przecież zawsze we wszystkiem poddaję się twojej woli. Więc czegóż ty jeszcze chcesz?

SIGNE. Ja na to nic nie poradzę!... Ja sama nie wiem co to jest... Wiem tylko, że chciałabym umrzeć... a to przychodzi na mnie tak często! (*znowu wybucha płaczem*).

HAMAR. Ależ dziecko moje!... Ty, któraś mnie tyle razy zapewniała, że mnie kochasz...

SIGNE. Ja też cię kocham. Ale czasem przychodzi mi myśl, że nasza miłość, nasze zaręczyny, to coś okropnie złego, że to nieszczęście... Nie. Nie zbliżaj się do mnie!

HAMAR. Signe!

TJALDE (*na schodach od werandy, ale za sceną*). Rozumie się! — Naturalnie! — Wszyscy w świątecznem ubraniu!

HAMAR. Obetrzyj oczy. Niech ojciec

nie wie, żeś płakała! (*Chce jej pierścionek nałożyć na palec, ale ona odwraca się od niego, ocierając sobie oczy*).

SCENA VII.

HAMAR, SIGNE, TJALDE.

TJALDE (*stojąc w drzwiach werandy*). Ach! jesteście! To dobrze. Konsul Lind ma przyjechać parowcem. W tej chwili dostałem depeszę. (*odwraca się znowu i woła z werandy*). Ależ wywiesić już raz flagi i chorągiewki. Spuścić żagle. (*Schodzi i pomaga odczepić łódź*). Mocno przyczepiona! (*Hamar śpieszy mu z pomocą*). Tak, ty to najlepiej zrobisz! (*Hamar odczepia łódź i wyciąga ją na brzeg. Tymczasem Tjalde wchodzi do pokoju*). Słuchajno dziecko—(*przypatruje się córce*). Cóż to? Płakałaś? Znowu kłóciliście się?

SIGNE. Ależ papo!...

TJALDE. Niema czasu na błazeństwa! Dziś wszyscy musicie dołożyć wszelkich starań, żeby w domu było wesoło, przy-

jemnie i świątecznie! Powiedz Walpurdze.

Signe. Powiedz jej papa lepiej sam! Wiesz przecież, że ona robi tylko to, co jej się podoba.

Tjalde. Dajże mi teraz spokój z temi wszystkiemi historjami! To zanadto poważna chwila! Wszyscy musicie robić to, co ja chcę i co wam powiem... Powiedz Walpurdze, żeby się ubrała i zeszła tu na przyjęcie gości. A ty także przebierzesz się i przyjdziesz tu. (*Signe chce odejść*). Czekaj jeszcze!...

Signe (*zatrzymując się*). Co takiego?

Tjalde. Musimy jeszcze zaprosić na obiad sześć do ośmiu osób. Pana Finnego trzeba zawiadomić, że zamiast o czwartej, obiad będzie podany o trzeciej. Lind odjeżdża następnym parowcem, a więc o piątej. Rozumiesz?

Signe. Tak. Ale czy mama będzie miała dosyć jadła na tyle osób?

Tjalde. Musi mieć dosyć, a w dodatku wszystko musi być jak jaknajlepsze. Mam prawo wymagać od swojej żony, żeby w mym domu przez całe lato było

dosyć wszystkiego! Ile razy mam to jeszcze powtarzać?

SIGNE (*blizka łez; stara się jednak opanować łkanie*). Ale mama dzisiaj jest chora!...

TJALDE. Ach, te nieustanne gadanie o najrozmaitszych chorobach. Dziś nie mamy czasu na chorowanie! Śpiesz się!

SIGNE *płacząc cicho, wychodzi ostatniemi drzwiami z prawej strony.*

TJALDE (*do Hamara, który właśnie wchodzi przez drzwi od werandy*). Przynieś sobie pióro, atrament i papier. Musimy ułożyć listę gości, których trzeba zaprosić. A prędko, prędko, prędko!

HAMAR (*szuka po pokoju*). Tu niema nigdzie ani...

TJALDE (*zniecierpliwiony*). To przynieś sobie skąd chcesz to, co potrzeba!

HAMAR *wychodzi szybko przez najbliższe drzwi z prawej strony.*

TJALDE (*wzdycha głęboko, jakby mu ciężar spadł z piersi. Czyta następnie zwolna depeszę, którą trzyma w ręku. Ręka jego drży podczas czytania. Powtarza kilka zdań*). «Dostałem list pański w chwili odjazdu. Zanim zdecyduję

się objąć wszystko — niezbędne porozumienie ustne. Przyjadę pierwszym parowcem. Odjadę napowrót o piątej. Dokładny, porządnie zestawiony wykaz miej pan w pogotowiu! Lind».

Ledwie odczytać mogę. Ręce mi drżą. A jednak wszystko to prawda! Tak... jeśli się powiedzie... Wtedy wszystkie porty stoją otworem! *(do Hamara, który właśnie powraca)*. No! jesteś już nareszcie. Nie trzeba wypisywać osobnych zaproszeń. Za mało czasu na to. Wystarczy spisać listę nazwisk, a potem woźny z kantoru musi biedz od jednego do drugiego i ustnie powtórzyć zaproszenie. A więc (*dyktuje mu*). Pastor... a propos: szampan czy dobry? A jaki mamy?

HAMAR. Pytasz pan o ten świeży transport?

TJALDE. Rozumie się.

HAMAR. Pastor ogromnie się nim zachwycał.

TJALDE. Dobrze. A więc pisz:

HAMAR *(pisząc)*. Pastor...

TJALDE. Konsul Ring.

HAMAR. Kon—sul—Ring.

TJALDE. I... i... i...

HAMAR. A konsul Holst?

TJALDE. Nie. Holsta nie trzeba *(Hamar robi zdziwioną minę. Tjalde mówi do siebie)*. Teraz mogę mu przecież pokazać, że go już nie potrzebuję (*nagle głośno*). Przemysłowiec Holm. (*do siebie*) Jego największy wróg.

HAMAR. Prze-my-sło-wiec Holm.

TJALDE. Chociaż Holm, to właściwie wielki dureń. Ale... to przynajmniej zirytuje Holsta. *(głośno)* Naczelnik policji.

HAMAR. Na-czel-nik.

TJALDE. Nie! Nie! Wykreśl naczelnika (*mruczy pod nosem*). Z tymi ludźmi nigdy nie można być dosyć ostrożnym.

HAMAR. Naczelnika wykreśliłem.

TJALDE. A pastora już mamy?

HAMAR. Na pierwszem miejscu.

TJALDE. A tak. Prawda.

HAMAR. Możeby burmistrza?

TJALDE. A nie. Ten zadaleko mieszka. A przytem jeśli się wszystkich gości dla niego nie zaniedbuje... Zresztą on o niczem innem nie umie mówić tylko o sprawach biurowych... Nie! Nie! Ale zaraz... Pisz dalej: Knutzen,—przez t—z...

HAMAR. Knutzen—przez t—z.

TJALDE. Hm... tak... Także Knudsen przez d—s...

HAMAR. Knudsen—przez d—s.

TJALDE. Ilu ich mamy razem?

HAMAR. Pastor, — Ring,— Holm —Naczelnik po — nie, naczelnik wykreślony. Knutzen przez tz, Knudsen przez ds — to razem: jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć. Sześciu.

TJALDE. A Finne siódmy,—ty i ja—to dziewięciu. A musimy mieć koniecznie dwunastu przy stole...

HAMAR. A panie?

TJALDE. Nie. Pań przy takim handlowo-kupiecko-bankierskim obiedzie nie potrzeba. Te będą robiły honory domu po obiedzie... A właściwie najpierw cygara, a potem dopiero damy... Ależ kogożby tu jeszcze?

HAMAR. Możeby nowego adwokata? Bardzo inteligentny i dobrze wychowany człowiek... Jakże on się nazywa?... Zaraz...

TJALDE. Nie! Nie! Tego nie trzeba. On wszędzie chce się wkręcić i wszystkim przypochlebić się, zresztą on zaraz mie-

wa wielkie mowy... Ale... poborca cłowy, Pram!

HAMAR. Ależ po co? Ten człowiek zawsze się upija!

TJALDE. Ale to jest taki osobliwy rodzaj opilstwa... pijaństwo zwrócone na wewnątrz—wgłąb... on tem nikomu nie zaszkodzi... Przeciwnie! Pisz więc! Poborca cłowy Pram.

HAMAR. Po-bor-ca cło-wy Pram.

TJALDE. Jak to trudno w takiem małem gnieździe... jeżeli się chce mieć dobrane towarzystwo... Czekaj! (*uradowany*). Jest Falbe. Ajent Falbe. To bardzo porządny, miły człowiek i niema nigdy własnego zdania.

HAMAR. Porządny... to znaczy niby... tak, porządnie ubrany? Co?

TJALDE (*mruczy pod nosem*). Hm! — Tak... i to także... Ale ja myślałem tak wogóle... Jest i dwunasty!... Marcin Schulz.

HAMAR (*oburzony*). Marcin Schulz? (*wstaje z krzesła*). Nie! To już ośmielę się uroczyście i stanowczo zaprotestować... gdy był tu ostatni raz — a wtedy było bardzo liczne zebranie — wiesz pan

przecież, co zrobił? Podczas obiadu wyjął z ust sztuczną szczękę (*ilustruje wszystko odpowiednim ruchem*) i zaczął ją wszystkim pokazywać. Chciał żeby ją brano z rąk do rąk naokoło stołu! Jeżeli dziś ma być dobrane, dystyngowane kółko, to...

Tjalde. Tak. To istotnie źle wychowany człowiek. Ale za to najbogatszy w całej okolicy.

Hamar (*usiadł tymczasem znowu*). W takim razie powinienby sobie przynajmniej sprawić nową perukę! Bo siedzenie przy nim jest nie do wytrzymania.

Tjalde. Tak. Tak. To brudas! Nie dba o swój wygląd zewnętrzny. Ale za to chytra sztuka — lis... Widzisz, mój młody przyjacielu, — bogatemu człowiekowi wybacza się podobne... ekscentryczności.

Hamar. Ja nie mam pojęcia, co panu może zależeć na tem, żeby on tu bywał. Jaką pan możesz mieć korzyść z tego?

Tjalde. Hm! Hm!... No... Możeby się i obeszło bez niego...

Hamar. Ależ naturalnie że się obejdzie!

Tjalde (*mruczy pod nosem*)... Chociaż

konsul Lind zrozumiałby pewnie co to znaczy, że Marcin Schulz...

HAMAR. I co ten człowiek wygaduje zawsze! Panie nie mogą wytrzymać w jego towarzystwie. Przed nim poprostu uciekają i...

TJALDE. Tak... Masz rację... (*mruczy pod nosem*). Tem bardziej, że w gruncie rzeczy jego już nie potrzebuję... Ależ któżby mógł być tym dwunastym?!... Czekajno!...

HAMAR. A Krzysztof Hansen?

TJALDE. Ach nie! Do stu djabłów! Wtedybyśmy o niczem nie mogli mówić tylko o polityce. Nie! Nie!... Ale czekaj... (*chodzi po pokoju rozmyślając, staje obok Hamara*). Tak... mnie się zdaje, że można się odważyć. Hm, hm, hm!... Tak! Właśnie jego! (*akcentując każdą zgłoskę*). Pi-wo-war Ja-kob-sen!

HAMAR (*ubawiony*). Co? Jakobsen?!

TJALDE. Hm, hm, hm!... Jakobsen zrobi dobre wrażenie. Ja go znam dobrze.

HAMAR. To nadzwyczajnie sympatyczny człowiek—wszyscy o tem wiemy... ale on... w takiem doborowem towarzystwie?...

Tjalde. Hm, hm, hm... Pisz no: Jakobsen!

Hamar (*pisze*). Jakobsen...Tak (*wstaje*).

Tjalde. A teraz niech Waldstadt puści się w drogę. Ale pamiętaj, ażeby każdemu wyraźnie zapowiedział, że obiad podany będzie punktualnie z uderzeniem godziny trzeciej!—Śpiesz się tylko! (*Hamar wychodzi*, *Tjalde woła za nim*): Tylko śpiesz się i wracaj zaraz, bo może trzeba będzie jeszcze się tu czemś zająć.

Hamar *wychodzi drzwiami po prawej stronie.*

Tjalde (*sam*). Aha, prawda (*wyjmuje z kieszeni list*). Czy naprawdę posłać temu adwokatowi bilanse, czy też nie?... Te wszystkie banki są mi już zupełnie niepotrzebne... Chociaż właściwie interes jeszcze nie jest ostatecznie i stanowczo załatwiony... A bądź co bądź bilans jest doskonale zestawiony... Niechby konsul Holst go zobaczył, to by się z pewnością zirytował... A zresztą nie... jeślibym posłał, to gotowi pomyśleć, że naprawdę było ze mną krucho w chwili, kiedym przyrzekł adwokatowi... i że dopiero Lind wyratował mię i wybawił z kłopotów...

Zresztą nic a nic nie ryzykuję posyłając bilans.

Hamar *powraca.*

Tjalde. Mój kochany! Każ mu jeszcze i ten list oddać — w hotelu Wiktorja dla adwokata Berenta...

Hamar. Czy to może zaproszenie na obiad? Ależ w takim raziem będzie nas trzynastu przy stole!...

Tjalde. Nie. To nie jest zaproszenie. Idź i oddaj to Waldstadtowi, bo gotów odejść bez tego.

Hamar *wychodzi.*

Tjalde (*sam*). Ba! Gdyby się udało!... Konsul Lind to jeden z tych ludzi, którzy dają się złapać!... A ja muszę zrobić z nim to, co chcę!... Muszę! (*patrzy na zegarek*). Cztery godziny czasu pozostaje do obrobienia tego pana. Oddawna już nie byłem tak pewny siebie. Już dawno nie miałem tyle nadziei... (*Zamyśla się, potem zaczyna mówić z cicha*). Takie przesilenie ma jednak czasem i swoje dobre strony, — to jakby wielka fala, która nas unosi ponad kłopoty i zawikłania. Wtedy wszyscy w tę stronę zwracają uwagę. Wszyscy zbiegają się

żeby dopomódz i wyratować... (*Wzdycha ciężko*).

Tak... gdybym mógł już wydobyć się z tego wszystkiego... ale tak, żeby nikt się niczego nie domyślał! Ten strach, to napięcie wszystkich nerwów dniem i nocą!... Ta niejasność wokoło, te wieczne, nieustanne wykręty, to tajenie się ze wszystkiem, ta gra... Och!

Ale teraz zacznie się nowe życie. To wstrętne przyjęcie... Tak, tak, tak. Wszystko ma zawsze dwie strony... Wszystko, co obliczamy ma pięć rozmaitych wartości. Idę przez życie pomiędzy ludźmi i rzeczami, jakby we śnie, nie na jawie... (*w rozpacznym wybuchu*). Ale to już ostatni raz! — Ostatnie kłamstwo, ostatnie udawanie — i potem — koniec!...

Przecież mnie tylko chwilowej pomocy potrzeba,—a teraz ta pomoc zbliża się, nadchodzi, jest tuż przy mnie!—Hm. Ale w tem właśnie sęk. Czy spełni się to, czego pragnę? Czy otrzymam to, czego chcę?... Czyżbym ja rzeczywiście mógł odtąd?... Ach... gdybym ja mógł odtąd choćby jedną jedyną noc przespać spokojnie, obudzić się rano bez troski, bez

kłopotu, bez obawy i lęku, co mnie gnębi, i usiąść przy stole wśród swoich swobodny, wolny, pewny siebie!...

Czyżbym ja mógł znowu stać na gruncie rzeczywiście swoim własnym? — takim, o którym spokojnie mógł bym powiedzieć, że jest mój, mój, mój! (*tupiąc nogą*)... Nie! To rzeczywiście prawie nie do uwierzenia!—Zadużo mnie już w życiu spotkało zawodów!

HAMAR (*wchodząc*). Tak! Z tem jużeśmy gotowi.

TJALDE. Ach! do djabła! Zapomniałem! Ależ proch! — Prochu trzeba! — Musimy go przecież przyjąć wspaniale!

HAMAR. Rozumie się, że mamy proch!

TJALDE. W takim razie poślij zaraz posłańca po artylerzystę Ollego (*wychodzi*).

Akt I.

Ten sam pokój.

Pośrodku pokoju stoi wielki stół zastawiony flaszkami szampana i deserami.

Pani Tjalde, Signe, służącą i lokaj zajęci są jeszcze przy zastawianiu stołu.

Z prawej strony dochodzi gwar ożywionej rozmowy, przerywanej od czasu do czasu głośnemi wybuchami śmiechu.

SCENA I.

PANI TJALDE, SIGNE.

PANI TJALDE (*zmęczona*). No... Zdaje mi się, że wszystko jest w porządku.

SIGNE. Ale obiad trwa dzisiaj strasznie długo...

PANI TJALDE (*patrząc na zegarek*). Tak... Zaledwie pół godziny czasu zostaje na deser, jeżeli konsul Lind chce odjechać z powrotem o piątej godzinie. (*W pokoju po prawej stronie robi się cicho*).

SIGNE. Teraz już skończyli nareszcie!... Wstają właśnie od stołu. (*Słychać gwar i hałas, głośną rozmowę, odsuwanie krzeseł, ruch*). Idą już!

PANI TJALDE. Tak. To my teraz chodźmy stąd.

SCENA II.

Pierwszy wchodzi Tjalde, wprowadzając pod ramię konsula Linda. Słychać jak konsul Lind zapewnia gospodarza, iż obiad był wyśmienity. W odpowiedzi Tjalde usprawiedliwia się, że w tej małej osadzie żyje on jakby na wsi, musząc zadowolnić się byle czem.

Obaj patrzą na zegarki. Zaledwie pół godziny czasu pozostaje im do dyspozycji, przed odjazdem Linda. Tjalde zaprasza swego gościa, by przecież pozostał dłużej, ale konsul Lind odmawia stanowczo.

Tuż za Lindem i Tjaldem wchodzą przemysłowcy Holm i Ring, pogrążeni w głośnej dyskusji o cenach drzewa i o ich fluktuacji. Holm twierdzi, że ceny spadną jeszcze bardziej, podczas gdy Ring się temu sprzeciwia, twierdząc, że ceny drzewa podniosą się znowu i to rychło. Motywuje on swoje zdanie tem, że ceny drzewa stoją zawsze w odwrotnym stosunku do cen węgla i żelaza. Holm przeczy temu absolutnie.

Jako trzecia para wchodzą pastor i prowadzący go pod rękę przyszły zięć gospodarza domu. Hamar wypił widocznie trochę za wiele. Pastor zapewnia Hamara, że nie ma nic przeciwko wyłączaniu się z przynależności do gminy, jeżeli tylko należący do gminy będą zawsze zobowiązani do opłaty należnego pastorowi wynagrodzenia, bez względu na to czy korzystają z jego usług, czy też nie, — bo wszystko na świecie ujęte być musi w pewne obowiązujące

normy, gdyż porządek jest integralnym składnikiem królestwa Bożego na ziemi.

Hamar próbuje wtrącić kilka słów o kasztanku, ale to mu się nie udaje.

Równocześnie zjawiają się Knutzen i Falbe; rozmawiają o tancerce, którą Falbe widział w Hamburgu, a która skacze na sześć stóp wysoko. Knutzen nie może w to uwierzyć i wypowiada głośno swe wątpliwości; wierzy natomiast święcie, że Falbe siedział raz, podczas table d'hote przy jednym stole z ową tancerką.

Razem wchodzą we trójkę Finne, Knudsen i Jakobsen. Jakobsen głowę swą oddaje w zakład, że on ma słuszność zupełną. Tamci obaj zapewniają go z wielkim zapałem, że on źle zrozumiał ich słowa, bo oni wcale nie mieli zamiaru wypowiedzenia tego, co on im wkłada w usta. Jakobsen odpowiada im na to, że go djablo mało obchodzi, co oni chcieli powiedzieć przez to, co powiedzieli, ale wie doskonale, że jego pryncypał jest największym i najgenjalniejszym przedsiębiorcą i najuczciwszym człowiekiem na całym świecie, a co najmniej już w całej Norwegji.

Ostatni wchodzi poborca cłowy, Pram, sam jeden, pogrążony w spokojnem zadowoleniu z siebie.

Wszystkie rozmowy toczą się równocześnie.

TJALDE (*uderzając kilkakrotnie nożem w szklankę*). Moi panowie! (*Pauza. Słychać tylko jeszcze głosy Falbego i Jakobsena, których inni proszą, żeby się*

uciszyli). Moi panowie! Otwarcie muszę wypowiedzieć, jaką mi przykrość sprawia to, że obiad trwał dziś zadługo...

Wszyscy (*jednogłośnie*). Nie! Nie! Wcale nie!

Tjalde. Szanowny gość nasz odjeżdża, niestety, już za pół godzinki. Pozwólcie mi panowie wypowiedzieć słów kilka, zanim weźmiemy się do deseru.

Moi panowie! W gronie naszem mamy dziś monarchę! Tak moi panowie, nie cofam tego słowa i powtarzam raz jeszcze: — monarchę! Bo jeśli prawdą jest, że pieniądz panuje nad światem, — a prawdą to jest niezbitą...

Pram (*stojąc przy stole, o który oparł się obydwoma rękami, mówi uroczyście a spokojnie*). Tak jest. To prawda!

Tjalde. ...W takim razie gość nasz jest monarchą. Czy jest jakiekolwiek większe przedsiębiorstwo, któregoby on nie był współzałożycielem,—to jest chciałem powiedzieć, — któregoby on nie poparł powagą i potęgą swego nazwiska?...

Pram (*zwraca się do Linda*). Panie konsulu! Czy pan mi wyświadczy ten

zaszczyt (*chce się z nim trącić kieliszkiem*).

Kilku gości. Cicho!

Tjalde. Tak jest, moi panowie! Nazwisko pana konsula jest złączone z każdem dziełem organicznej, ekonomicznej pracy! A niemożliwością jest dokonać takiego dzieła, jeśli konsul Lind nie udzieli mu swego poparcia.

Pram. ...Nie udzieli poparcia...

Tjalde. Czyż więc nie jest on władzcą i monarchą?

Falbe (*cieniutkim głosikiem*). Rozumie się!

Tjalde. Moi panowie! W tej chwili ten mąż zasłużony udziela swego poparcia sprawom niezmiernej wagi, będąc niejako twórcą nowej ery! Zapewniam was, panowie, że w tej chwili staje on się największym dobroczyńcą naszego kraju!

Pram. Największy dobroczyńco!

Tjalde. Na jego cześć wychylam ten kielich. Dom jego niechaj rozwija się wspaniale i trwa wiecznie, a nazwisko jego niechaj stanie się nieśmiertelnem w Norwegji! Niech żyje pan konsul Lind!

Wszyscy. Niech żyje! Niech żyje pan

konsul Lind! (*Wszyscy trącają się kieliszkami z Lindem*).

Tjalde (*do Hamara, odciągając go trochę gwałtownym ruchem na bok, podczas gdy goście biorą się do deseru).* Ale cóż się stało ze strzałami?!

Hamar *(przerażony).* Prawda! Zapomniałem! *(Podbiega szybko do okna, ale jeszcze szybciej powraca).* Nie mam chustki przy sobie. Musiałem ją zostawić tam w pokoju!

Tjalde. Weź moją! (*Szuka po kieszeniach*). W niczem się na ciebie spuścić nie można. Nawet kiedy idzie o najmniejszy drobiazg. Teraz wystrzały się spóźnią! Co za skandal! Kompromitacja! *(Daje mu chustkę. Hamar podbiega do okna i jak szalony wymachuje chustką. Nareszcie odzywają się wystrzały. Wszyscy goście stoją wokoło stołu, trzymając w rękach deserowe talerzyki).*

Holm. Trochę zapóźno...

Knutzen. Lepiej późno, niż nigdy...

Ring. W każdym razie to bardzo poważna chwila...

Holm. A bądź co bądź bardzo niespodziewana.

Knutzen. Wśród huku wystrzałów armatnich, pokazuje się światu człowieka który daje się za nos wodzić...

Ring. Tak...—Konsul Tjalde to chytra i sprytna sztuka.

Tjalde (*uderza nożem w kieliszek*). Moi panowie! Pan konsul Lind chce mówić (*wszyscy gromadzą się wokoło Linda, pogrążeni w pełnem szacunku i czci milczeniu*).

Lind. Nasz szanowny gospodarz wypił moje zdrowie, dodając kilka nadzwyczajnie pochlebnych dla mnie słów. W odpowiedzi na słowa jego, mogę tylko zaznaczyć, że wielki majątek oddany jest w ręce człowieka przedewszystkiem i głównie w tym celu, aby korzystając z niego, popierał pracę, genjalność i wielkie przedsięwzięcia...

Pram (*stojąc tak samo, jak poprzednio, przy stole*). Ślicznie powiedziane!

Lind. Ja uważam się li tylko za administratora tego depozytu, za słabego i krótkowzrocznego administratora...

Pram. Cudownie...

Lind. Ale nie mylę się, twierdząc, że olbrzymia i tak wszechstronna działalność

konsula Tjaldego, którą wszyscy musimy podziwiać — opiera się na mocnych podwalinach. Wątpię, żeby w tej chwili ktokolwiek był lepiej poinformowany i z większą znajomością rzeczy mógł o tem sądzić, niż ja. (*Ogólne poruszenie; wszyscy patrzą na siebie wzajemnie, zaskoczeni niespodziewanie).*

Śmiało zatem mogę powiedzieć, że działalność jego jest dobrodziejstwem dla tej osady, dla całej okolicy — jest dobrodziejstwem dla całego kraju. To też działalność ta swą potęgą i genjalnością zasługuje na to, by poprzeć ją wszystkiemi siłami... Wnoszę ten kielich na powodzenie i rozwój pomyślny firmy konsula Tjaldego!

WSZYSCY. Niech żyje! Niech się rozwija! (*Hamar daje znów znak chustką, słychać wystrzały za sceną*).

TJALDE. Dziękuję panu serdecznie, panie konsulu. Jestem głęboko wzruszony.

LIND. Ja tylko wypowiedziałem szczerze swoje przekonanie, panie konsulu!

TJALDE. Dziękuję panu raz jeszcze (*zwraca się do Hamara*). Co? Każesz

strzelać, kiedy się pije zdrowie gospodarza? Co za kompromitacja!

Hamar. Przecież po każdym toaście mają strzelać...?

Tjalde. Z ciebie straszny...!

Hamar (*mówi sam do siebie*). Nie! Jeśli ja tu jeszcze dłużej będę, to...

Holm. A więc to widocznie fakt dokonany?

Knutzen. Toast konsula Linda przedstawia wartość conajmniej stu tysięcy talarów.

Ring. Ten Tjalde to chytra sztuka! Ja to zawsze mówiłem... (*widać jak Falbe zbliża się z wielkim szacunkiem do konsula Linda, aby się z nim trącić kieliszkiem*).

Jakobsen (*w rozmowie z Knudsenem postępuje ku przodowi sceny i mówi przyciszonym głosem).* Ani słowa prawdy w tem niema! Prędzejby włosy na dłoni wyrosły niżby on się tego dopuścił!

Knudsen. Ależ kochany panie Jakobsen, to tylko nieporozumienie! — Pan mnie nie zrozumiał!

Jakobsen (*głośniej*). Ach, co tam za

nieporozumienie! Już ja znam dobrze swoich ludzi!

KNUDSEN. Człowieku! Nie mówże pan tak głośno!

JAKOBSEN *(jeszcze głośniej)*. To co ja mówię, każdy może słyszeć!

TJALDE *(prawie jednocześnie uderzając nożem w szklankę)*. Pan pastor prosi o głos!

JAKOBSEN (*bardzo głośno*). Co? Ja mam milczeć, kiedy taki przeklęty — — —

TJALDE (*rozkazującym tonem*). Pan pastor ma teraz głos...

PASTOR (*niebardzo silnym głosem*). Jako duchowny opiekun tego domu, uważam za swój miły obowiązek pobłogosławić te wszystkie dary Boże, które tak obficie spływają na gospodarza naszego i całą jego rodzinę, — oby używali ich ku dobru i prawdziwemu zbawieniu dusz swoich, dziś i po wszystkie czasy!

PRAM. Amen!

PASTOR. Ośmielam się, podnosząc ten kielich, wypić go za pomyślność dzieci gospodarza naszego — tych uroczych dziewczątek, o których szczęście modlę się od chwili ich konfirmacji, od tej nie-

zapomnianej chwili, która tak ściśle złączyła i zbliżyła z sobą duszpasterza i tę oto rodzinę!

Pram. Ach tak!

Pastor. Oby w przyszłości, tak jak dotychczas, rosły w szczerej pobożności, pokorze ducha i wdzięczności dla swoich drogich i czcigodnych rodziców.

Wszyscy. Córki gospodarza niech żyją! Niech żyją!

Hamar *(przestraszony, do Tjaldego)*. Kazać strzelać?...

Tjalde. Ach idźże sobie do stu tysięcy...

Hamar. Jeżeli ja tu jeszcze dłużej będę...

Tjalde (*równocześnie*). Dziękuję panu, panie pastorze! Podzielam pańską nadzieję i wiarę, że ten serdeczny stosunek między rodzicami a dziećmi, jaki w moim domu...

Pastor. Zawsze z przyjemnością i radością wchodzę w dom pański, w ten ciepły, spokojny zakątek, gdzie...

Tjalde. Mogę pana prosić, panie pastorze... Jeszcze kieliszek, trącimy się!

Pastor. Ręczę panu, doskonały szampan!

Lind (*w rozmowie z Holmem*). Ale to co pan mi opowiada, to rzeczywiście nadzwyczaj przykre... Miejscowość, która mu tyle zawdzięcza, odpłaca się w zamian taką niewdzięcznością!?

Holm *(przyciszonym głosem)*. No, widzi pan konsul, Tjalde to... Ostatecznie, nie można mu tak bardzo ufać...

Lind. Doprawdy? A ja — przeciwnie — słyszałem o nim tylko same pochwały.

Holm *(jak wyżej)*. Pan konsul mnie nie zrozumiał... Ja miałem na myśli tylko jego stosunki majątkowe...

Lind. Jego stosunki? To tylko zazdrość może! Bardzo często oszczerstwo czepia się ludzi, których przedsiębiorczość i zdolność wyróżnia z pośród zwykłego szarego tłumu!

Holm. Ależ ja nie miałem wcale najmniejszego zamiaru...

Lind (*trochę niezadowolony*). Och, w to wierzę. (*Odwraca się od Holma i zostawia go*).

Jakobsen (*z którym właśnie Tjalde trącił się kieliszkiem*). Moi panowie!

KNUTZEN *(przechodząc mimo Holma)*. Czy ten brutal istotnie będzie tu przemawiał? (*zwraca się do konsula Linda*) Czy pan konsul wyświadczy mi ten zaszczyt i trąci się ze mną kieliszkiem? (*Kilku gości rozmawia głośno, jakby chcąc umyślnie zagłuszyć Jakobsena i nie dać mu przyjść do słowa*).

JAKOBSEN (*strasznym głosem*). Moi panowie! (*Milczenie. Pauza. Mówi dalej zwyczajnym tonem*). Czy przy tej uroczystej sposobności, także i ja, prosty człowiek, mogę pozwolić sobie na wypowiedzenie kilku słów?

Przyszedłem do pana konsula Tjaldego, kiedy byłem biednym małym chłopcem. A on wyciągnął mnie z błota... (*śmiech*) Jestem teraz... czem jestem, moi panowie. Jeżeli kto może tutaj mówić o panu konsulu Tjaldem, to ja, bo ja go znam. Ja wiem, że to człowiek dobry i porządny!

LIND (*do Tjaldego*). Dzieci i pijani...

TJALDE (*uśmiechając się, odpowiada mu również półgłosem*) ...mówią prawdę!

JAKOBSEN. Są tutaj niektórzy ludzie, co wygadują to i owo—najrozmaitsze plotki.

Ale kiedy jestem w takiem wykwintnem towarzystwie, to powiadam, że pan konsul Tjalde—niech mnie djabli wezmą, jeżeli kłamię — jest za dobry dla tej całej hołoty. (*Ogólny śmiech*).

TJALDE. Dosyć już będzie! Dosyć!

JAKOBSEN. Nie. To jeszcze nie dosyć. Bo ja chcę wypić jedno zdrowie, o którem my wszyscy zapomnieliśmy, chociażeśmy razem dobrze się najedli i napili. (*Ogólny śmiech*).

FALBE (*klaszcząc w ręce, woła*). Brawo!

JAKOBSEN. Tu niema nic a nic śmiesznego, bo tu chodzi o zdrowie pani konsulowej, żony pana konsula Tjaldego,— a jej zdrowia dziś jeszcze nikt z nas nie wypił.

LIND. Brawo! Słusznie!

JAKOBSEN. Czem ona jest jako żona i matka... ja powiem szczerą prawdę, że to ona tu w domu wszystko w porządku trzyma, a jest słabowita, chora, mimo to ponosi cały ciężar kłopotów i trosk i ani słówkiem się nigdy nie poskarży. Niech jej Pan Bóg błogosławi! — No i na tem kończę!

Kilku gości. Zdrowie pani konsulowej! Niech żyje!

Pram. To było bardzo ładnie z pańskiej strony, panie Jakobsen! (*Ściska go za rękę*).

Lind (*zbliża się, Pram cofa się z oznakami wielkiego szacunku*). Pozwoli pan trącić się z sobą kieliszkiem, panie Jakobsen?

Jakobsen. Ślicznie dziękuję, panie konsulu!... Ja jestem tylko człowiek prosty...

Lind. Ale człowiek porządny i uczciwy!... Piję pańskie zdrowie! (*piją obaj*).

W tej chwili za werandą ukazuje się łódź i podpływa aż pod werandę, gdzie przybija do brzegu. Sześciu wioślarzy powstaje i ustawia się w szeregu, biorąc wiosła na ramię. Sannas stoi u steru tuż pod banderą.

Holm (*szeptem*). Tjalde wiedział co robi zapraszając Jakobsena!...

Knutzen (*również szeptem*). Patrz pan, ta łódź, ta łódź!

Ring. Ten Tjalde to chytra sztuka, sprytny, o naprawdę bardzo sprytny! (*Wszystkie trzy panie wchodzą zwolna po schodach z prawej strony*).

Tjalde. Moi panowie, zbliża się godzina rozstania! Widzę właśnie, że mo-

je panie nadchodzą, aby pożegnać naszego czcigodnego gościa. Po raz ostatni otoczmy go kołem i stańmy przy nim — tym naszym władcy! Podziękujmy mu, że nas zaszczycił swem towarzystwem i pożegnajmy go gromkiem dziewięciokrotnem: Wiwat!

(*Pani Tjalde*, *Signe*, *Walpurga wchodzą podczas przemowy Tjaldego*).

Wszyscy (*wstają*). Wiwat! (*Powtarzają okrzyk dziewięć razy; gdy wszyscy zamilkli*, *Pram krzyczy po raz dziesiąty):* Wiwat!

Lind. Dziękuję wam, moi panowie! Ale chwila odjazdu się zbliża. Muszę się ograniczyć li tylko do pożegnania każdego zosobna!...

Żegnam panią, pani Tjalde! Szkoda, że pani nie słyszała pięknego toastu wniesionego na jej cześć. Dziękuję najuprzejmiej za serdeczne przyjęcie! Przepraszam za trudy, kłopoty, które spowodował mój przyjazd... (*zwraca się do Signy*).

Żegnam panią! Żal mi bardzo, bardzo, że nie miałem zaszczytu być pani przedstawiony wcześniej i poznać ją bliżej...

Wydaje mi się, że pani ma bardzo żywe usposobienie... Ale może pani wkrótce rzeczywiście zawita do miasta — tak jak pani przyrzekła... Proszę więc bardzo nie zapominać o nas.

SIGNE. Nieomieszkam skorzystać z zaproszenia. Będzie to dla mnie obowiązkiem i przyjemnością złożyć uszanowanie żonie pańskiej...

LIND. Dziękuję pani za obietnicę. Będzie nam bardzo przyjemnie!... (*zwraca się do Walpurgi*). Czy pani jest cierpiąca...?

WALPURGA. O nie! Jestem zupełnie zdrowa.

LIND. W takim razie skąd taki poważny wyraz twarzy? (*Ponieważ Walpurga nic mu nie odpowiada, więc dorzuca zimno*). Żegnam panią! (*zwraca się do Hamara*) Do widzenia panie... panie...

TJALDE. Porucznik kawalerji Hamar.

LIND. Aha, prawda. Przecież to pan mi mówił coś o jakimś koniu... Ach, przypominam sobie, — to przyszły zięć!... Przepraszam pana, że ja nie...

HAMAR. Ależ panie konsulu!

LIND. Do widzenia więc!

Hamar. Szczęśliwej podróży, panie konsulu!

Lind (*zimno do Holma*). Żegnam pana, panie Holm!

Holm (*z niezmierną uprzejmością*). Życzę panu konsulowi szczęśliwej podróży!

Lind. Do widzenia panie poborco!

Pram (*zatrzymuje podaną mu rękę, widocznie chce coś powiedzieć, ale milczy. W końcu zdobywa się na odwagę*). Czy pozwoli pan konsul podziękować sobie za... za... Czy mogę podziękować panu konsulowi za... za...

Lind. Z pana z pewnością bardzo dobry i uczciwy człowiek!

Pram (*jakby mu kto ciężar zdjął z piersi*). To mnie bardzo cieszy! Dziękuję panu, panie konsulu!

Lind (*do Knutzena*). Do widzenia panie...

Knutzen (*szybko*). Przemysłowiec Knutzen...

Pram. ...Przez t, z...

Lind (*do Knudsena*). Do widzenia panie...

Knudsen. Również Knudsen...

PRAM. ...Ale przez d, s...

LIND (*stając przed Falbem*). Pan...?

FALBE. Pan Falbe... Ajent Falbe...

LIND. Żegnam pana, panie ajencie Falbe. (*do Ringa*) Cieszy mnie, że zastałem pana konsula znowu w tak doskonałym stanie zdrowia!

RING (*kłaniając się nizko*). Również, panie konsulu!

LIND. Do widzenia, panie pastorze!

PASTOR (*zatrzymując go za rękę, mówi uroczyście*). Pozwoli mi pan, panie konsulu, złożyć sobie życzenia pomyślności i błogosławieństwa Bożego.

LIND. Dziękuję panu, dziękuję! (*Stara się uwolnić swą rękę z uścisku pastora*).

PASTOR. ...podczas podróży w tak dalekie kraje, po przez burzliwe złowrogie fale morza, panie konsulu...

LIND. Dziękuję, dziękuję. (*Stara się wyrwać rękę z uścisku pastora*).

PASTOR. ...I czy wolno mi życzyć panu, panie konsulu, szczęśliwego powrotu...

LIND. Dziękuję! Najpiękniej dziękuję! (*Ciągle wyrywa swą rękę z ręki pastora*).

PASTOR. ...powrotu do ojczyzny ukocha-

nej... do tego kraju, panie konsulu... który w panu, panie konsulu...

LIND. Przepraszam pana, panie pastorze, ale czasu niema...

PASTOR. Czy pozwoli mi pan, panie konsulu, podziękować panu za ten dzień, za tę możność poznania pana, za...

LIND. Niema za co, panie pastorze! Żegnam pana! (*Staje przed Jakobsenem*). Do widzenia, Jakobsen, do miłego widzenia!

JAKOBSEN. Do widzenia, panie konsulu! Ja jestem tylko prosty człowiek, ale mimo to pozwoli mi pan, panie konsulu, życzyć sobie szczęśliwej podróży!

LIND. Dziękuję panu serdecznie, panie Jakobsen!... Bądź zdrów Finne!... Ale czekaj... Jedno słówko... (*szeptem*). Więc powiadasz, że adwokat Berent... (*bierze Finnego na bok i rozmawia z nim po cichu*).

TJALDE (*do Hamara*). Tylko mój kochany nie zapomnij-że teraz o wystrzałach (*Hamar chce szybko odejść*). Czekaj, czekaj-że! Gdzie chcesz lecieć? Teraz? Czekaj-że, aż łódź odbije od brzegu... Znowu byłbyś nas najfatalniej skompro-

mitował! (*zostawia Hamara, zwracając się do Linda*).

HAMAR. Jeżeli ja tu dłużej...

TJALDE (*do konsula Linda, podając mu rękę*). Do widzenia więc, panie konsulu! (*półgłosem*) Nikt nie może być panu wdzięczniejszym za te odwiedziny, niż ja! Pan tylko może pojąć, co...

LIND (*trochę zimno*). Ależ to drobiazg, panie konsulu! Wszelkiego powodzenia w interesach! (*trochę cieplejszym tonem*) Do widzenia moi państwo!... Dziękuję raz jeszcze za tak gościnne przyjęcie i za tak miłe towarzystwo! (*Służący podaje mu kapelusz, potem schodzi z werandy, za nim idzie Tjalde, niosąc torebkę podróżną konsula i inne jego drobiazgi. Lind schodzi po schodach i siada do łodzi*).

WSZYSCY (*na werandzie*). Do widzenia, panie konsulu! Do widzenia!

TJALDE. Raz jeszcze: wiwat!

WSZYSCY (*powtarzają*). Wiwat! (*równocześnie odzywają się strzały armatnie. Łódź odbija od brzegu. Wszyscy, z wyjątkiem Walpurgi, trzymającej się na uboczu, powiewają chustkami*).

Tjalde (*powraca szybko, szukając po kieszeniach*). Gdzie moja chustka?... Ach, prawda, dałem ją temu urwisowi, a on... (*spostrzega Walpurgę*) A ty czemu nie wyszłaś pożegnać konsula?

Walpurga. Bo mi się nie chciało!

Tjalde (*patrzy jej w oczy nie mówiąc ani słowa; bierze serwety w prawą i lewą rękę, wybiega na werandę, powiewa serwetami, wołając*). Do widzenia panie konsulu, do widzenia!

Signe. Zejdźmy na dół, na wybrzeże, przejdziemy aż do półwyspu!

Wszyscy. Owszem, owszem! (*wszyscy schodzą szybko schodami w prawą stronę*).

Tjalde (*powraca do pokoju*). Widziałem, że adwokat nadchodzi. (*Walpurga wyszła pierwszemi drzwiami po prawej stronie. Tjalde podchodzi naprzód sceny, rzuca serwety na stół, siada ciężko na krześle i oddycha głośno*). O...! O...! Ależ to już ostatni raz!... Teraz mi już tego wszystkiego nie potrzeba! Tak! Teraz już mi to wszystko niepotrzebne! (*wstaje z krzesła*) Ach, prawda! zapomniałem! Adwokat!

Odsłona.

Przemiana dekoracji musi być dokonana z największą szybkością.

Po lewej stronie od widza pulpitowy stół kantorowy. Na nim i na półkach nad nim księgi rachunkowe i papiery.

Po prawej stronie kominek tak wysoki, że mężczyzna stojący przy nim może się oprzeć o jego gzyms. Obok kominka fotel.

U przodu sceny, po prawej stronie, stół, na nim kałamarz i pióra. Dwa fotele: jeden z nich zupełnie przysunięty do stołu, ale obrócony ku widzowi, drugi obok tamtego.

Okna po obu stronach pulpitu; naprzeciw kominka drzwi.

W głębi drzwi wiodące do innych pokojów kantoru. Po każdej stronie drzwi krzesło. Przy drzwiach dzwonek.

W kącie pokoju, po lewej kręte schodki wiodące na pierwsze piętro do sypialni Tjaldego.

SCENA III.

TJALDE, BERENT, wchodzą przez drzwi w głębi.

TJALDE (*bardzo poważny*). Wybaczy pan mecenas, że go tu przyjmuję. Na górze wielki nieład. Mieliśmy dziś gości na obiedzie.

BERENT. Właśnie słyszałem, że pan miał gości.

TJALDE. Był u mnie konsul Lind z Chrystjanji...

BERENT. Ach, tak!...

TJALDE. Niech pan będzie łaskaw usiąść!

BERENT *kładzie kapelusz i zarzutkę na jedno z krzeseł przy drzwiach. Potem zwolna podchodzi na przód sceny. Siada na fotelu przy stole, ale tak, że zwrócony jest do publiczności, a stół ma po prawej ręce. Wyjmuje z kieszeni plik papierów i kładzie go na stole.*

TJALDE *siada na drugim fotelu koło Berenta i przypatruje się obojętnie siedzącemu obok adwokatowi.*

BERENT. Przedewszystkiem idzie o to, żebyśmy mogli zdobyć jakiś pewny i stały punkt wyjścia do oznaczenia wartości,—rozumie się, że głównie tych niezmiennych wartości.

TJALDE. Naturalnie.

BERENT. Dlatego też, ażeby ten punkt wyjścia zdobyć, byłoby może najstosowniej i najlepiej zacząć od zakładu, który

jest najbardziej rozgałęziony i posiada największe terytorjum.

Tjalde. Bezwątpienia.

Berent. Niema tu ani jednego zakładu, któryby pod tym względem przedstawiał tak korzystne warunki, jak pański. To też, czyby pan miał cokolwiek przeciwko temu, ażebyśmy pańskie przedsiębiorstwa wzięli za podstawę do obliczeń. Czy pozwoli mi pan zatem, że dodam niektóre uwagi do poszczególnych kalkulacji pańskich?

Tjalde. Jak się panu podoba, panie mecenasie.

Berent. Pan prawdopodobnie wartość ich zna lepiej niż ja.

Tjalde *skłania głowę uprzejmie.*

Berent. A więc, może zaczniemy od wzięcia pod rozpatrzenie gruntów, które najbliżej są położone. W ten sposób najłatwiej i najprędzej określimy tutejsze ceny lokalne. A więc naprzykład: las w Muhlstadt. — Pan jak widzę oznaczył wartość jego—na 84,000 talarów.

Tjalde. Mógłbym śmiało oznaczyć wartość tego lasu na 100,000 talarów. Ale przy takich pozycjach trzeba mieć

zawsze na uwadze ewentualność, że okaże się może potrzeba zrealizowania interesu nagle..

BERENT. ...Ażeby nie powiedzieć niedobrowolnie... to jest przymusowo. Jestem zupełnie tego samego zdania, co pan... Ale w każdym razie zdaje mi się, że las ten jest trochę za wysoko oszacowany?

TJALDE (*obojętnie*). Tak?

BERENT. Pan go kupił za 50,000 talarów?

TJALDE. Tak, ale przed czterema laty, kiedy ceny drzewa były bardzo nizkie.

BERENT. Ale od tego czasu wyrąbał pan w nim i sprzedał drzewa za więcej niż 100,000 talarów.

TJALDE. Kto to panu powiedział?

BERENT. Konsul Holst.

TJALDE. A skądże on o tem może wiedzieć?

BERENT. W każdym razie trzeba tu być bardzo ostrożnym.

TJALDE. Naturalnie — moje obliczenia oparte są na bardzo dokładnem oszacowaniu lasu.

Berent. W to nie wątpię ani na chwile... W takim razie jednak uwzględnił pan widocznie może trochę za wysokie ceny.

Tjalde. W żadnym razie przecież nie mogłem przy tem reflektować na ceny dzisiejsze, a więc najniższe, jakie kiedykolwiek być mogą. — Tych dzisiejszych cen nie mogłem wziąć za podstawę do obliczeń, gdyż są poprostu nienaturalnie nizkie.

Berent. Innych cen znowu banki nie mogą uwzględnić. — Co do tego zresztą, porozumieliśmy się z samego początku...

Tjalde. Zresztą, całe to określenie wartości nic a nic mnie nie obchodzi. Ale ci, których ono dotknie, będą przeciw temu protestowali.

Berent (*nie zwracając uwagi na te słowa Tjaldego*). Sądzę zatem, że możemy te 84,000 zredukować na 50,000 talarów.

Tjalde. Na 50,000 talarów?!! (*śmieje się*) Ależ panie łaskawy!

Berent. Wedle tej samej stopy oznaczyć musimy wartość lasu w Haven, conajwyżej na 20,000 talarów...

Tjalde. Przepraszam pana... Chociaż

dla mnie osobiście—jak to już wyraźniej zaznaczyłem—cała ta historja jest zupełnie obojętna... jednak chciałbym się dowiedzieć, jaki cel mają te wszystkie redukcje?

Berent. Celem tych redukcji jest ścisłe oznaczenie wartości, tak, ażeby banki w razie przymusowej sprzedaży nie poniosły straty. I z tego właśnie względu za podstawę obliczeń bierzemy ceny obecne, chociaż są podług pana najniższe.

Tjalde. Wobec tego pozwolę sobie zwrócić uwagę pana mecenasa, że podobne postępowanie musiałoby spowodować bankructwo całego wybrzeża.

Berent (*uśmiechając się*). Och... toby się dopiero pokazało w dalszym ciągu.

Tjalde. No... ponieważ mnie osobiście ta cała historja nie dotyczy... Ale czy banki same są na to przygotowane?

Berent. Dotychczas banki nie mają się jeszcze czego obawiać. Ale jeśli mają wogóle dalej prowadzić tutaj interesy, to są zmuszone oddzielić firmy solidne od niesolidnych.

Tjalde. Ponieważ pan mecenas był tak łaskaw zapytać mnie o zdanie, więc

je wypowiedziałem, chcąc tem samem i przestrzedz.

Berent (*skłaniając głowę z podziękowaniem*). Wartość warsztatów okrętowych razem z zapasami obliczył pan na 60,000 talarów.

Tjalde. Tak jest, włączając w to i obydwa statki właśnie budowane.

Berent. Tak. Ale te statki nie są jeszcze gotowe i w obecnej chwili trudnoby było znaleźć na nie nabywcę.

Tjalde. Tak pan sądzi?

Berent. Pan przecież wie lepiej niż ja, że w obecnej chwili, podczas przesilenia, nie tak łatwo znajdzie się ludzi, którzyby chcieli robić wkłady.

Tjalde. Dobrze. Dobrze. — Ale tymczasem oba okręty będą gotowe, a do tej pory przesilenie minie.

Berent. Musimy stanowczo odróżniać to, co jest, od tego, co będzie, i trzymać się teraźniejszości. Z tego powodu warsztatów okrętowych razem z zapasami nie możemy wciągnąć w rachunek w wyższej sumie niż 40,000 talarów... Mnie się zdaje nawet, że i ta suma wydawać się będzie za wysoką.

Tjalde. Jeżeliby pan mógł mi znaleźć tak urządzone warsztaty, z takiemi zapasami i w tak korzystnem położeniu, — w każdej chwili dałbym 40,000 talarów i byłbym pewny, że jeszcze zarobię na tym interesie co najmniej jakie dwadzieścia kilka tysięcy,—i to tylko na tym jednym interesie.

Berent (*znów skłaniając uprzejmie głowę*). Czy pan pozwoli mi przejść do następnych pozycji?

Tjalde. Jak pan sobie życzy!... Sam zaczynam być ciekawy, jak w tem oświetleniu—zupełnie nowem i oryginalnem—wyglądać będą moje zakłady i posiadłości.

Berent. Przedewszystkiem zanadto wysoko oceniona jest posiadłość, w której się właśnie znajdujemy. A więc te obszary gruntu, ogrody, domy, magazyny — nie mówiąc już o browarze i o fabryce, bo o tem zamierzam mówić później. W każdym razie nawet jako przestrzeń do rozparcelowania, ocenioną ona jest za wysoko—jak się zdaje. Bo w całości mógłby to nabyć tylko ktoś rozporządzający bardzo wielkiemi kapitałami.

Tjalde. Zupełnie słuszne.

Berent. Ale na takiego nabywcę nie można liczyć. Oprócz kapitałów musiałby on mieć pański nadzwyczajny zmysł orjentacyjny i administracyjny, pańską wybitną znajomość rzeczy i przedsiębiorczość. W przeciwnym razie, albo częściowo, albo w całości straciłoby to dla niego wszelką wartość.

Tjalde. No—a dalej?

Berent. Do tego jeszcze muszę dodać, że zbytkownego urządzenia domów—bo o innych zupełnie niepotrzebnych budynkach wcale nie mówię — nie można absolutnie przy sprzedaży brać w rachubę wedle jego rzeczywistej wartości. Dajmy na to, że chciałby to kupić rolnik. A to przecież jest najprawdopodobniejsze...

Tjalde. Więc pan mnie już stąd wyrzucił?

Berent. Proszę pana, ja muszę przedewszystkiem mieć na oku ewentualność sprzedaży przymusowej.

Tjalde (*wstając z fotela*). A więc jak wysoko pan ocenił wartość wszystkiego, tak mniej więcej?

Berent. Zredukowałem wszystko wię-

cej niż o połowę wartości, a więc do sumy...

Tjalde. Nie—przepraszam pana— ale teraz ja muszę wypowiedzieć to, co już dawno mam na myśli. — Wie pan, że to jest bezczelność. Wcisnąć się w ten sposób w czyjś interes i pod pretekstem zasięgania jego opinji,—na papierze, w obliczeniach, odbierać mu jego własność, to...

Berent. Nie rozumiem pana. Szukam możności określenia cen w tej okolicy — pan sam powiedział mi, że to wszystko go nic a nic nie obchodzi...

Tjalde. Rozumie się, że nie! — Ale choć ja to wszystko biorę, żeby się tak wyrazić, na żarty — nie zabiera się przecież, tak bez skrupułu, ofiarowanych w najlepszej myśli obliczeń człowieka honoru, ażeby się niemi potem posługiwać jak sfałszowanym dokumentem.

Berent. Przekonywam się tylko, że zapatrywania na ceny i wartości są dzisiaj rozmaite. Czego innego w tem wszystkiem nie widzę.

Tjalde. Ale czy też pan nie może pojąć, że jest to dla mnie, jakby mi kto wycinał ciało kawał po kawale... Posia-

dłości moje, jedną po drugiej, zdobyłem największym wysiłkiem pracy, własnemi rękami — chroniłem je w strasznych trudach wśród najfatalniejszych stosunków handlowych, i zdołałem je obronić... One są poświęcone mojej rodzinie, tym, którzy mi są najdrożsi!... One stały się częścią składową mego własnego organizmu, mego życia! A pan...

Berent (*skłaniając uprzejmie głowę*). Ja to doskonale rozumiem... Browar ocenił pan na...

Tjalde. Nie! Nie pozwalam panu dalej w ten sposób rzeczy traktować. Musi pan wziąć za punkt wyjścia i podstawę swych obliczeń inną posiadłość,—a także musi pan wyszukać sobie innego doradcę, któryby się przystosował do pańskiego komicznego poglądu na stosunki.

Berent (*rozpierając się w fotelu*). Bardzo mi przykro. Banki muszą wyciągnąć swoje wnioski z pańskich odpowiedzi na moje uwagi.

Tjalde. Czyżby pan moje bilanse odesłał syndykatowi bankowemu?

Berent. A tak... Razem z uwagami konsula Holsta i mojemi własnemi.

Tjalde. A więc, to była zasadzka! A ja byłem przekonany, że mam do czynienia z człowiekiem honoru!

Berent. Banki czy ja — ja czy banki, to zupełnie wszystko jedno, ponieważ jestem ich pełnomocnikiem.

Tjalde. Tak się nie tłómaczy podobnie bezczelnej zuchwałości!

Berent. Teraz każda chwila jest drogą. Syndykat bankowy musi się porozumieć z innemi instytucjami...

Tjalde. A moje bilanse mają być przedłożone bankom podczas tych konferencji?... I to wszystko bez mojej wiedzy i bez mego zezwolenia!

Berent. Pan sam był tak łaskaw ofiarować mi je, jako podstawę do dalszych kombinacji.

Tjalde. Tak tu, u mnie, w tej chwili i panu osobiście... A pan z góry wyzyskał moją grzeczność!

Berent. Pan mi przyrzekł dziś rano, że w interesie ogółu udzieli mi informacji, dopomoże mi rozejrzeć się w stanie rzeczy. A gdzież mogę znaleźć dokładniejsze informacje, niż w pańskich własnych obliczeniach?

TJALDE. Nie panie! Pański czyn jest kradzieżą — i to kradzieżą z włamaniem! Czynię pana za to odpowiedzialnym!

BERENT. Chciałem panu zaproponować, żebyśmy — na razie przynajmniej — wstrzymali się od podobnie drastycznych wyrażeń i lepiej wzięli się do rozważenia skutków wysłanych przezemnie obliczeń.

TJALDE. Skutki tego w każdym razie jeden z nas poczuje.

BERENT. Pomiędzy innymi i dom bankowy konsula Linda.

TJALDE. A czyżby moje bilanse razem z doniosłemi uwagami pana i konsula Holsta przedłożone być miały i bankowi Linda? Czy i on zaproszony jest na ową konferencję?

BERENT. Gdy ta wspaniała strzelanina podczas obiadu poinformowała mnie o pańskich z nim stosunkach, ośmieliłem się zaproponować syndykatowi zaproszenie konsula Linda na konferencję.

TJALDE. Aha, pan się tu ukrył, ażeby mnie szpiegować, aby wszystkie moje stosunki podkopać i zerwać?

BERENT. Czyżby pańskie położenie by-

ło niepewne, że mogłoby to mu zaszkodzić?

Tjalde. Tu nie chodzi teraz o moje położenie, ale o pańskie zachowanie się w tej sprawie!

Berent. Mnie się zdaje, że najlepiej będzie, jeśli wrócimy do rzeczy... A więc browar ocenia pan na...

Tjalde. Pańskie zachowanie się jest tak przewrotne, że ja, jako uczciwy człowiek, muszę przerwać wszelkie dalsze pertraktacje. Jak już powiedziałem, przyzwyczajony jestem w stosunkach finansowych—mieć tylko do czynienia z ludźmi honorowymi.

Berent. Mnie się zdaje, że pan lekceważy swoje położenie. Pan jest winien bankom tyle pieniędzy, że mają one wszelkie prawo zażądać od pana przedstawienia bilansu... Ale w takim razie musi pan się zgodzić na to, że zrobimy z temi bilansami to, co będziemy uważali za stosowne.

Tjalde (*który już zapanował nad sobą*). No... zresztą możliwe, że tu zaszło jakieś nieporozumienie. A źródłem tego nieporozumienia jest to, że pan nie może

wiedzieć, iż wszystkie moje stosunki z bankami—ustały zupełnie. Ja banków już teraz nie potrzebuję.

Berent. W każdym razie nieporozumienie to doprowadziło do tego, że pańska sytuacja — tak jak się na nią banki zapatrują — zakomunikowana będzie domowi bankierskiemu konsula Linda. Z tego względu zdaje mi się, że byłoby z korzyścią dla pana poznać ewentualne zapatrywania banków, ażeby pan mógł temu przeciwdziałać odpowiednio do swoich interesów.

Tjalde (*namyśliwszy się*). Więc zgoda. Nie chcę jednak słyszeć o pozycjach poszczególnych. Proszę o rezultat. — Krótko i węzłowato!

Berent (*przeglądając papiery*). Krótko i węzłowato—rezultat przedstawia się w ten sposób, że pan oceniłeś aktywa swoje na 450,000 talarów, podczas gdy ja oceniam je tylko na 203,000 talarów.

Tjalde (*spokojnie*). A więc pan wyliczył mi przeszło półtora kroć sto tysięcy pasywów?

Berent. Przy tem muszę jeszcze zau-

ważyć, że zestawienie pańskie pasywów nie zgadza się również z mojem.

Tjalde (*spokojnie*). Rozumie się, że nie!

Berent. Naprzykład dywidenda z masy konkursowej Mullera...

Tjalde. ...Czy jest różnica w obliczeniu mojem i pańskiem?...

Berent. Jeżeli można różnicą nazwać to, że ja liczę, iż masa konkursowa da 10 procent, podczas gdy pan liczy, że... da...

Tjalde (*przerywa mu*). Dosyć! Nie myślę bynajmniej wracać do naszych zupełnie odmiennych zapatrywań co do wartości... Ile winien jestem masie konkursowej — wedle pańskiego obliczenia?

Berent. Wedle mojego obliczenia 50,000 talarów. A podobnie rzecz się ma z trzema innemi masami konkursowemi, np. Sandersa, gdzie pan oblicza...

Tjalde. Dajmy spokój poszczególnym pozycjom! Więc summa moich passywów wynosi?

Berent. Chwilkę cierpliwości... Summa pańskich passywów wynosi... wedle pańskiego obliczenia 350,000 talarów... a wedle mojego około 400,000, — dokładnie 396,860 talarów.

Tjalde. A więc różnica o...

Berent. Różnica o mniej więcej 197,000, czyli jakby okrągłe 200,000 talarów.

Tjalde. Tak. Nareszcie doszliśmy do okrągłych cyfr!

Berent. Pomiędzy bilansem przezemnie zestawionym, a bilansem pańskim jest jeszcze ta różnica, że pan wykazuje nadwyżkę aktywów w kwocie 24,000 talarów, podczas, gdy ja wykazuję nadwyżkę passywów w kwocie mniej więcej 200,000 talarów.

Tjalde. Jestem panu bardzo wdzięczny!... A wie pan jakie mam uczucie w tej chwili?

Berent *spogląda na niego.*

Tjalde. Jakbym miał do czynienia z człowiekiem obłąkanym.

Berent. Ja to uczucie miałem już dawno!... Nie mogłem naprzykład wliczyć tu materjałów budowlanych odstawionych w rachunku do Francji, ponieważ pan zapomniał wyekspedjować ich, więc jeszcze tu leżą. Możeby to zmieniło trochę ogólny rezultat bilansu?

Tjalde. ...Dużo słyszałem o pańskiej

bezwzględności i o zupełnym braku serca... Ale to, co teraz widzę, przewyższa wszelkie opowiadania—wszelkie pojęcia. Nie wiem dlaczego dotąd panu drzwi nie pokazałem, — ale czynię to w tej chwili! (*wskazuje palcem drzwi wchodowe*). Proszę!

Berent. Tą drogą wkrótce obaj wyjdziemy... Ale przedtem musimy się porozumieć co do oddania masy konkursowej sądowi.

Tjalde. Ha, ha, ha!... Czy pan wie, że już w tej chwili otrzymałem telegraficznie wiadomość, iż nietylko wszystkie swoje wierzytelności płatne w najbliższym czasie — pokryję, ale nawet wielu innym jeszcze dopomódz będę w stanie.

Berent. Telegraf to bardzo piękny wynalazek, ale jest to instytucja dostępna dla wszystkich.

Tjalde (*namyśla się kilka chwil nad znaczeniem tych słów, a następnie pyta*). Co pan chce przez to powiedzieć?

Berent. Ta strzelanina podczas obiadu zmusiła mnie również do wysłania depeszy. Pan Lind z pewnością znajdzie na pokładzie statku telegram wysła-

ny przez swego zastępcę... no i—wątpię bardzo, żeby panu wypłacono te pieniądze, których pan się spodziewa.

TJALDE. To nie prawda! Na toś pan się nie odważył!

BERENT. Owszem. Odważyłem się.

TJALDE. Pokaż mi pan jeszcze raz swój bilans... Chcę go przejrzeć! (*Chce wziąć papiery*).

BERENT (*kładąc rękę na papierach*). Przepraszam pana!

TJALDE. Co? Pan się ośmiela przywłaszczyć sobie moje własnoręcznie spisane prywatne papiery?

BERENT. Tak jest! I ośmielam się także schować je do kieszeni. (*Czyni to*). Fałszywy bilans opatrzony datą i własnoręcznym podpisem, to wcale ważny dokument.

TJALDE. A więc postanowił pan mnie zrujnować, zniszczyć moralnie i prawnie?

BERENT. To pan sam już dawno uczynił. Ja znam doskonale pańskie położenie. Mniej więcej od miesiąca koresponduję ze wszystkiemi krajowemi i zagranicznemi firmami, z któremi pan jesteś w stosunkach.

Tjalde. Na jakie wyrafinowane, chytre podstępy narażony być może najuczciwszy człowiek! — Od miesiąca otoczony jestem szpiegami. Od miesiąca knuje się spisek, mający na celu moją ruinę! Wciskają się chytrze w mój dom, by podpatrzeć i podsłuchać moje tajemnice! (*W wielkiem wzburzeniu*). Ale ja potrafię unicestwić te intrygi!... Przekona się pan, co to znaczy chcieć zniszczyć poważną firmę chytremi i oszczerczemi intrygami!

Berent. Ta poważna firma jest już — o ile mogę sądzić — od trzech lat zrujnowana! A właśnie przed trzema laty nawiązałeś pan stosunki z Mullerem; tylko oszust wiąże się z oszustem.

Tjalde. Gdybym miał do czynienia z kupcem rozumiejącym się na interesach, to bym mu wytłómaczył, co spowodowało mnie do nawiązania stosunków z Mullerem. Ale panu to wyjaśnić — szkoda fatygi.

Berent. Możeby już czas był dać spokój frazesom. — Czy pan zamierza natychmiast ogłosić niewypłacalność?

Tjalde. Ha, ha! I to może dlatego, że

pan cyframi na świstku papieru niby umotywowałeś moje bankructwo?!

Berent. Ja wiem, że pan możesz jeszcze odwlec katastrofę o miesiąc. Ale w pańskim własnym interesie, a przedewszystkiem w interesie innych radziłbym panu natychmiast ogłosić niewypłacalność. I to właśnie było celem mego przyjazdu.

Tjalde. Ach! Nareszcie! Ale mimo to grałeś pan rolę przychylnego i troskliwego doradcy, który chce tylko poinformować się jak rzeczy stoją! «Trzeba przedewszystkiem oddzielić firmy solidne od niesolidnych» i do mnie pan się zwrócił jako do najkompetentniejszego, abym panu dopomógł!

Berent. Tak jest. Ale tu właśnie nie znalazłem ani jednej firmy niesolidnej prócz pańskiej — i tych, które są z nią związane.

Tjalde (*opanowawszy się*). I wszedłeś pan w mój dom ze stanowczym, choć utajonym zamiarem zrujnowania mnie!

Berent. Raz jeszcze muszę powtórzyć, że nie ja jestem szefem zbankrutowanej firmy,—tylko pan nim jesteś.

Tjalde. A ja raz jeszcze muszę powtórzyć, że tylko w pańskiej mózgownicy wylągł się ten pomysł! — W przeciągu miesiąca dużo da się zrobić. A ja dawałem już dowody, że potrafię znaleźć wyjście z najgorszej sytuacji!

Berent. Czyli innemi słowami, żeś pan grzązł w kłamstwie coraz głębiej.

Tjalde. Kupiec potrafiłby mnie zrozumieć... Ale gdybyś pan miał rzeczywiście pojęcie o sprawach—powiedziałbym mu: daj mi pan 100,000 talarów, a uratuję wszystko dla wszystkich!

Toby było zadanie godne tak genjalnego człowieka jakim pan jesteś, toby świadczyło najlepiej, że pan zdołasz jednem spojrzeniem zorjentować się w sytuacji. Toby uratowało od nędzy tysiące ludzi, a krajowi zapewniłoby przyszły rozkwit tak ważnych gałęzi przemysłu i handlu.

Berent. Na to pan mnie nie złapie.

Tjalde. Czy pan myśli, że ja pana chcę złapać? Nie. Ja tylko powtarzam panu to, co tak genjalny finansista, jak konsul Lind, przejrzał odrazu, i gdyby nie pańskie nieszczęsne wmieszanie się,

wszystko byłoby już załatwione i dokonane. Ale ja mimo to nadziei nie tracę! Zwrócę się jeszcze raz do niego!

Berent. Konsul Lind wyjechał za granicę.

Tjalde. Ja za nim pojadę.

Berent. Taki pośpiech mógłby mu się wydać trochę podejrzanym... tembardziej, że tymczasem otrzyma moje informacje...

Tjalde. O! tego ja się nie obawiam.

Berent (*z powagą*). Tego właśnie pan się powinien obawiać!—Toby było oszustwem wyłudzić teraz jeszcze 100,000 talarów. A zresztą pan się myli, sądząc, że konsul Lind spełniłby obecnie to, co przyrzekł.

Tjalde (*zamyślając się*). Tak... rzeczywiście... On się prędko zapala do interesu... ale prędko też ostyga i wtedy szuka wykrętów... znam go... Ale pan tego nie uczyni! Jeżeli pan chce, to udowodnię panu, panie mecenasie, że suma 100,000 talarów zdołałaby postawić na nogi ten ogromny interes... W przeciągu trzech miesięcy remessy powrócą....—Ja to panu dowiodę, jak na dłoni...

Berent. ...że pan się przerzuca z je-

dnego złudzenia w drugie. Tak pan przecież robisz od trzech lat, z miesiąca na miesiąc.

Tjalde. Bo te ostatnie trzy lata to okres zupełnego zastoju—było to straszne! Ale teraz przesilenie się rozpoczęło i wszystko musi znów pójść naprzód.

Berent. Tak, tak. W ten sposób oszukiwałeś się pan przez trzy lata!

Tjalde. O nie! Nie! To przecież widzi każdy rozumny finansista!

Berent. Tak widzi tylko każdy oszust.

Tjalde. Nie doprowadzaj mnie pan do rozpaczy!... Czy pan wiesz, com ja przeszedł przez te trzy lata?... Czy pan wiesz, do czego ja byłbym zdolny?

Berent. Do dalszych jeszcze kłamstw.

Tjalde. Strzeż się pan!... Tak, to prawda, ja stoję nad brzegiem przepaści! To prawda, — ja przez trzy lata robiłem wszystko, co tylko było możliwe, co było w siłach ludzkich, ażeby wybrnąć z rozpaczliwej sytuacji. Śmiało mogę twierdzić, żem dowiódł sił nadludzkich w tej walce z przeciwnościami. Ale też za to należy mi się nagroda. Pan masz pełnomocnitwo, panu ufają,—zrozumiejże pan

swoje posłannictwo! Czyż ja dopiero mam panu wskazać gdzie ono leży?! — Tylko to jedno panu powiem — tylko to jedno:—jeśli pańskie postępowanie zniszczy i o kij żebraczy przyprawi setki ludzi — czy nie będzie to dla pana strasznym wyrzutem sumienia na całe życie?

Berent. Skończmy już z tem!

Tjalde. Nie! Do stu tysięcy djabłów! Taką walkę zakończyć szalonem poddaniem się! Nigdy!

Berent. A czemże pan chcesz ją zakończyć?

Tjalde. Niema wyjścia, którego bym nie brał pod rozwagę, — nie raz, tysiąc razy! Ja wiem co mi pozostaje! Drwin tej marnej osady — tryumfu wszystkich tych, którzy mi zazdroszczą, wzdłuż całego wybrzeża — nie, tego nie zniosę i to mnie nie spotka!

Berent. A więc co pan chcesz zrobić?

Tjalde. Dowie się pan jeszcze... (*coraz bardziej rozdrażniony*). A więc pan pod żadnym warunkiem nie przyjdzie mi z pomocą?

Berent. Nie.

Tjalde. I chcesz mnie pan zmusić

w tej chwili—tu, w moim domu do ogłoszenia niewypłacalności?

Berent. Tak.

Tjalde (*z rozdrażnienia głos jego staje się ochrypłym i przyciszonym*). Pan nigdy nie doświadczałeś tego, co to jest rozpacz. Pan nie wiesz, jakie było moje życie w tych latach!... Ale chwila obrachunku nadeszła teraz... a ponieważ, mam w swoim kantorze człowieka, który mnie uratować może, ale nie chce... więc los mój będzie i jego losem.

Berent (*rozpierając się w fotelu*). Oho! Zaczyna się tragedja.

Tjalde. Nie żartuj pan! Możesz pan tego żałować! (*Zamyka wszystkie drzwi na klucz; wyjętym z kieszeni kluczykiem otwiera szufladę pulpitu i wyjmuje z niej rewolwer*). Jak pan myśli? jak długo ten rewolwer tu leży.

Berent. Prawdopodobnie od dnia, w którym go pan kupił.

Tjalde. A po co ja go kupiłem?... Czy pan sądzi, że ja wszechwładny pan tej całej osady, największy przedsiębiorca na całem wybrzeżu,—że ja zniosę hańbę bankructwa?

Berent. Znosi ją pan już oddawna.

Tjalde. Teraz jest w pańskiej mocy zniszczyć mnie, albo uratować! Postąpiłeś pan tak, jakbym ja nie zasługiwał na żadne względy. I ja również postąpię bezwzględnie. Złóż pan syndykatowi bankowemu sprawozdanie, że można mi udzielić 70,000 talarów kredytu — więcej mi nie potrzeba, ale z terminem płatności za rok—a ja uratuję wszystko dla wszystkich. — Rozważ pan to. — Miej pan wzgląd na moją rodzinę, na moją starą firmę, na setki ludzi, których pan unieszczęśliwisz razem ze mną. — Ale miej pan na względzie także i swoją rodzinę! Bo jeśli pan nie zrobisz tego, czego ja wymagam od pana, to ani pan, ani ja żywi stąd nie wyjdziemy!

Berent (*wskazując palcem rewolwer*). Czy ta historja nabita?

Tjalde (*naciągając kurek*). Przekonasz się pan o tem wtedy, kiedy będzie czas po temu. Teraz żądam odpowiedzi!

Berent. Wie pan co? Ja panu zrobię jedną propozycję. Zastrzel pan najpierw siebie, a potem mnie.

Tjalde (*przystępując do niego blizko*

i trzymając wycelowany rewolwer wprost jego czoła). Te dowcipy wkrótce się skończą!

Berent (*powstaje i wyjmuje z kieszeni arkusz papieru, który rozkłada*). Tu jest koncept zawiadomienia sądu o niewypłacalności. Podpisując ten dokument, spełnisz pan swój obowiązek wobec wierzycieli, wobec rodziny i wobec siebie samego. Zabijając siebie i mnie dodasz pan do wszystkich innych kłamstw jeszcze jedno, i to najbrutalniejsze... A teraz odłóż pan rewolwer i weź pan pióro do ręki!

Tjalde. Nigdy!... To, co chcę uczynić, postanowiłem już dawno! Ale teraz podzielisz pan mój los!

Berent. Rób pan, coś postanowił. — Mnie żadnemi groźbami nie przymusisz pan do kłamstwa!

Tjalde (*który opuścił rewolwer ku ziemi, cofa się o krok, wznosi rewolwer i celuje*). A więc!

Berent (*idzie wprost ku niemu i patrzy mu ostro w oczy. Tjalde mimowolnie cofa się i opuszcza rewolwer*). Czy pan sądzi, iż nie wiem, że człowiek, który w głębi duszy tak długo wahał się

między trwogą a kłamstwem, może mieć pomysły rozmaite, ale odwagi nie ma? — Pan się na to nie odważysz!

TJALDE (*rozwścieczony*). Zobaczysz pan! (*cofa się wstecz podnosząc znów rewolwer*).

BERENT (*idąc wprost przeciw niemu*). Strzelaj pan! Usłyszysz pan huk, do czego jesteś przecież oddawna przyzwyczajony... Ale tymczasem skończ pan lepiej te wszystkie szopki i wyznaj otwarcie swoje błędy, a potem cofnij się gdzieś w cień, w ukrycie!

TJALDE. Nie. Pierwej djabli wezmą ciebie i mnie...

BERENT. ...i kasztanka!

TJALDE (*zaskoczony znienacka*). Kasztanka?!

BERENT. Tak. Tego wspaniałego wierzchowca, na którym pan paradowałeś, wracając ze zgromadzenia Mullerowskiej masy konkursowej. Każ pan się zastrzelić na tym koniu—na tem pańskiem ostatniem wielkiem kłamstwie kupieckiem!... (*Zbliża się i mówi cichym głosem*). A lepiej jeszcze, odrzuć pan od siebie to kłamstwo—jeśli jeszcze zdolny je-

steś do tego — a bankructwo przyniesie ci więcej szczęścia, niż go dało bogactwo.

Tjalde *wypuszcza z ręki rewolwer, który upada na ziemię; sam rzuca się na krzesło i wybucha płaczem*).

Pauza.

Berent. Walczyłeś pan nadludzko od trzech lat. Nie znam człowieka, któryby zdolny był tak pracować, jak pan pracowałeś, ale w tej walce zgubiłeś pan sam siebie!... Niechże pana teraz nie przeraża poniżenie bankructwem... Ono jedno może oczyścić pańską duszę.

Tjalde (*ukrywając twarz w dłoniach, jęczy płacząc*). O—h—h!

Berent. Potępiłeś pan moje postępowanie, a ja przebaczam panu pańskie. Oto moja odpowiedź... (*Pauza*). Sprobuj pan teraz spojrzeć w oczy nieszczęściu i jak mężczyzna zastanów pan się nad swojem położeniem!

Tjalde *(jak wyżej)*. O—h—h!

Berent. Musisz pan już być doszczętnie znużony tem wszystkiem... A więc skończ!

Tjalde (*jak wyżej*). O—h—h! nie jest to uczucie miłe, kiedy się znów...

Berent (*siada obok niego*). Czy odzyskanie czystego sumienia i możność wspólnego pożycia z rodziną nie jest miłem uczuciem? Bo przez te lata pan właściwie nie miałeś rodziny...

Tjalde (*jak wyżej*). O—h—h!

Berent. W życiu swojem spotykałem już niejednego spekulanta i wysłuchiwałem wyznań jego. Rozumiem więc, że pan przez te trzy lata wszystkiego musiałeś sobie odmawiać, bez wszystkiego obywać; snu spokojnego nie miałeś i nie mogłeś spokojnie zasiąść do stołu. Nie mogłeś nawet pan zwrócić uwagi na to, co dzieci pańskie robią, chyba, że przypadkiem stanęły panu w drodze... A żona pańska...

Tjalde. Moja żona!

Berert. Tak! Ona myślała z pewnością tylko o tem, co trzeba na stół podać... i zajęcie to musiało zapełnić próżnię jej życia... Zapracowywała się jak najpodrzędniejsza sługa w domu...

Tjalde. Moja żona! Moja cierpliwa, poczciwa żona!

Berent. Zdaje mi się, że wolałbyś pan zamienić los z najbiedniejszym z pośród

robotników swoich, niż raz jeszcze przeżyć to wszystko!

Tjalde. Wolałbym! Wolałbym!

Berent. Czy wobec tego może pana jeszcze cokolwiek wstrzymywać, jeśli jest możność stanąć przed światem, jako uczciwy i rzetelny człowiek i zerwać raz wreszcie z tem kłamstwem! — Weź pan pióro i podpisz pan!

Tjalde (*rzuca się na kolana*). Łaski! Łaski!—Pan nie wie, czego pan odemnie wymaga. Dzieci by mnie przeklęły. Sam to z ust ich słyszałem! A ludzie, których mój upadek zniszczy! Jest ich za wiele! Oni i ich rodziny! —O...!—Moi robotnicy... dokąd oni się zwrócą?—Czy pan wie, że ja zatrudniam przeszło 400 ludzi? Pomyśl pan, co się z nimi stanie? z ich rodzinami, jeżeli zostaną bez grosza i bez kawałka chleba!...

Łaski!—Ja nie mogę! Mnie nie wolno! Dopomóż mi pan! Uratuj! To było nikczemne, że panu groziłem... Ale teraz proszę pana — błagam, w imieniu tych wszystkich, którzy zasłużyli na lepszy los niż ja, którym poświęcę całe swoje życie w wiernej, uczciwej służbie!

Berent. Nie mogę pana uratować — a już tembardziej pieniędzmi cudzemi. To, czego pan żąda odemnie, byłoby nieuczciwością.

Tjalde. Nie, nie, nie! Niech pan zda im sprawę szczerze i otwarcie. Niech pan podda mnie administracji, jeśli pan chce.—Tylko niech pan nie dopuści, żeby moje zakłady zamknięto! Pozwólcie mi wykonać moje plany. A wszyscy rzeczoznawcy, wszyscy przyznają, że to udać się musi!

Berent. Usiądź pan!... Pomówmy o tem... (*Tjalde siada*). Czy to, co mi pan proponuje, różni się w czemkolwiek od tego, co pan usiłował wykonać w ostatnich trzech latach? Właśnie przez czas ten umiał pan zdobyć sobie środki, a jednak co to pomogło?

Tjalde. Konjunktury! Konjunktury!

Berent (*potrząsając głową*). Tak długo pan wikłał prawdę z nieprawdą, aż w końcu zatracił świadomość zasadniczych podstaw umiejętności handlowych. W czasach złych, w nadziei, że przyjdą dobre, mogą spekulować tylko ci, któ-

rych stać na to. Inni muszą dać temu spokój.

Tjalde (*przekonywająco*). Ale przecież względy na interesy wierzycieli wymagają, żeby zakłady moje istniały dalej i żeby je podtrzymać!

Berent. Firmy solidne nie mają żadnego interesu w tem, żeby podtrzymywać firmy niesolidne.

Tjalde (*jeszcze bardziej przekonywająco*). Ale przynajmniej starać się powinny uratować swoje kapitały!

Berent. Tak... Pańskie zakłady muszą pójść pod zarząd...

Tjalde (*pełen nadziei powstaje*). No tak... A więc...

Berent. Ale pana muszą przedtem stąd usunąć.

Tjalde (*upadając na krzesło*). Mnie... przedtem... usunąć!

Berent. Własnemi pieniędzmi można, rozumie się, utrzymywać interes, dopóki lepsze czasy nie nastaną, ale pożyczonemi—nigdy!

Tjalde. Pożyczonemi nigdy!

Berent. Pan przecież rozumie tę różnicę?

Tjalde. Tak.

Berent. Dobrze... A więc w takim razie rozumie pan również, że nic panu innego nie pozostaje jak podpisać ten dokument...

Tjalde. ...jak podpisać...

Berent. Tam leży pióro... Chodź pan...

Tjalde (*rozdrażniony*). Ach! Nie mogę! Nie mogę!...

Berent. Dobrze. W takim razie interes stanie sam w krótkim czasie i wtedy będzie jeszcze gorzej.

Tjalde (*rzuca się znów na kolana*). Łaski! Łaski! — Ja nie mogę się pozbyć nadziei! Pomyśl pan—po takiej strasznej walce...

Berent. Powiedz pan lepiej szczerze i otwarcie, że pan nie masz odwagi znieść skutków tego wszystkiego...

Tjalde. Tak. Tak.

Berent. ...że pan nie masz odwagi rozpocząć życia w prawdzie i bez kłamstwa.

Tjalde. Tak. Tak.

Berent. Ależ pan sam nie wiesz, co mówisz!

Tjalde. Nie. Ja nie wiem, co mówię... Ratuj mnie pan, ratuj!

Berent (*wstając z krzesła*). Rozpacz przez pana mówi!—-Żal mi pana.

Tjalde (*wstając z klęczek*). Prawda? żal panu?!—Niech mnie pan wystawi na próbę! Niech pan żąda odemnie — powiedz pan, czego...

Berent. Nie. Nie. Nie.—Przedewszystkiem żądam podpisania tego...

Tjalde (*padając na krzesło*). O!... Jakże ja mam teraz spojrzeć ludziom w oczy — ja, który wszystkim robiłem naprzekór i wszystkich oszukiwałem?

Berent. Kto doznał wiele niezasłużonych zaszczytów, ten także musi znieść wiele zasłużonych upokorzeń,—to prawo niezmienne.

Tjalde. Ale wobec mnie wszyscy będą okrutniejsi, niżby byli wobec kogokolwiek innego! Zasłużyłem na to, ja wiem—ale ja tego znieść nie zdołam!

Berent. Hm! Pan masz nadzwyczajne siły. Dowiódł pan tego swoją trzyletnią walką.

Tjalde. Miej pan litość, panie mecenasie! Pański gienjalny umysł, pański wpływ znajdzie wyjście z tej sytuacji!

Berent. Wyjście jest tylko jedno! — podpisze pan ten dokument.

Tjalde. Nawet tajny układ jest niemożliwy? Gdyby pan chciał to przeprowadzić... toby się powiodło!

Berent. Podpisz pan!... Tu leży pismo! Szkoda każdej chwili.

Tjalde. O—h—h! (*zataczając się, podchodzi do stołu, bierze pióro do ręki — znów zaczyna błagać*). I pan nie chce wystawić mnie na próbę,—po tem wszystkiem co przeszedłem?...

Berent. Tak, ale dopiero wtedy, kiedy zobaczę, żeś pan podpisał.

Tjalde *podpisuje, odchodzi, zataczając się i pada na krzesło, z którego Berent powstał. Widać na nim straszny ból.*

Berent (*bierze podpisany przez Tjaldego dokument, składa go i chowa do kieszeni*). Idę z tem do sądu, a potem do urzędu telegraficznego. Prawdopodobnie jeszcze dziś wieczór przyjdą tu, żeby spisać inwentarz. Niech pan zawiadomi swoją rodzinę.

Tjalde. Jakże to możliwe? Niechże pan mi da choć trochę czasu, — miejże pan na tyle litości!

Berent. Im prędzej, tem lepiej dla pana — nie mówiąc już o interesie innych

(*ogląda się wokoło*)... A więc tymczasem byłoby to już gotowe. Do widzenia!...

TJALDE. Nie! Niech pan mnie nie opuszcza! Nie opuszczaj pan mnie!

BERENT. Teraz chce się pan zobaczyć z żoną... Czy tak?

TJALDE (*opanowawszy się*). Tak.

BERENT (*patrzy na rewolwer*). To tutaj (*bierze go w rękę*) ...zostawię — nie wezmę z sobą. Niema zresztą niebezpieczeństwa. Ale kładę go tu na pulpicie, ze względu na innych... Gdybym panu, albo pańskiej rodzinie był potrzebny — proszę przysłać po mnie.

TJALDE. Dziękuję.

BERENT. Nie wyjadę stąd, póki najgorsze nie minie... w dzień czy w nocy — proszę przysłać po mnie, gdybym był potrzebny.

TJALDE. Dziękuję.

BERENT. Możeby pan był łaskaw otworzyć te drzwi.

TJALDE (*powstaje*). Prawda!... Przepraszam pana (*wyjmuje klucz z kieszeni i otwiera drzwi*).

BERENT (*biorąc zarzutkę i kapelusz*). Czy pan chce zaraz wezwać żonę?

TJALDE. Nie. Muszę przedtem przyjść trochę do siebie,—uspokoić się... Najgorsze rzeczy mam jeszcze przed sobą.

BERENT. I ja tak myślę, ale właśnie dlatego... (*dzwoni sam*).

TJALDE. Co pan robi?

BERENT. Nim odejdę, chcę być pewny, że pańska żona tu przyjdzie.

TJALDE. Tego nie potrzeba było robić! (*wchodzi służący*).

BERENT *patrzy znacząco w oczy Tjaldego.*

TJALDE. Proszę poprosić pani — mojej żony—żeby tu przyszła.

BERENT (*dodając*) ...ale zaraz (*służący wychodzi*). Do widzenia (*wychodzi*).

TJALDE *siada na krześle przy drzwiach.*

Akt III.

Ten sam pokój co w odsłonie poprzedniej.

TJALDE, później PANI TJALDE.

TJALDE (*sam; siedzi na krześle obok drzwi, tak samo jak w ostatniej chwili drugiego aktu. Siedzi długo nierucho-*

my, nagle wstaje). Jak ja jej to powiem? Po niej przyjdą dzieci... potem urzędnicy... Gdybym mógł uciec...? Ale sąd!... Powietrza, trzeba mi powietrza! (*wygląda przez okno*). Kasztanek? (*odwraca się*). Nie. Ja tego znieść nie mogę. Nie mogę się na niego patrzeć... Czemu go osiodłali?... Aha, prawda, po konferencji z adwokatem mieliśmy pojechać na spacer... Ale teraz to już...

(*Nagle myśl jakaś świta mu w głowie i opanowuje go; chodzi po pokoju, potem staje i mówi*). Tak. Wierzchem mogę dostać się do portu, zanim parowiec za granicę odjedzie! (*patrzy na zegarek*). Tak. Jest jeszcze czas. W takim razie wszystkobym tutaj zostawił — po za sobą (*wstrząsa się nagle, usłyszawszy szelest na schodach*). Kto? Kto tam?

Pani Tjalde (*na schodach*). Czy kazałeś mnie wołać?

Tjalde. Tak... (*patrząc na nią przenikliwie*). Przyszłaś z sypialni?

Pani Tjalde. Trochę odpoczywałam.

Tjalde (*ze współczuciem*). O... spałaś pewnie? A ja kazałem cię obudzić!

PANI TJALDE. Nie—nie spałam. (*Zeszła tymczasem zwolna po schodach*).

TJALDE. Nie spałaś?... (*lękliwie*). Czyś ty nic...? (*sam do siebie*) Nie. O to nie mogę pytać.

PANI TJALDE. Dlaczego kazałeś mnie zawołać?

TJALDE. Chciałem... (*widzi, że ona spogląda na rewolwer*). Dziwisz się, że wyjąłem z szuflady rewolwer?... Uważasz... chcę wyjechać.

PANI TJALDE (*opierając się o pulpit, jakby jej sił nie stało*). Ty chcesz wyjechać?

TJALDE. Tak. Adwokat Berent był tutaj... może wiesz o tem? (*nie otrzymuje żadnej odpowiedzi*) W interesach... muszę natychmiast wyjechać za granicę.

PANI TJALDE (*słabym głosem*). Za granicę?

TJALDE. Na kilka dni. Dlatego też wezmę tylko małą torbę podróżną i trochę bielizny... Ale trzeba mi to zaraz przygotować.

PANI TJALDE. Zdaje mi się, że nawet jeszcze nie rozpakowane.

TJALDE. Tem lepiej... Możebyś mi to tu przyniosła?

PANI TJALDE. Więc wyjeżdżasz... natychmiast?

TJALDE. Tak... tym parowcem, który idzie stąd wprost za granicę.

PANI TJALDE. W takim razie nie masz ani chwili do stracenia.

TJALDE. Czy ci może niedobrze?

PANI TJALDE. Ach... nie.

TJALDE. Twoje zwykłe cierpienie?

PANI TJALDE. Tak!... Przyniosę ci zaraz torbę (*Tjalde pomaga jej wejść na schody*).

TJALDE. O, wiele musisz znosić... Ale niedługo będzie lepiej!

PANI TJALDE. Gdyby tobie tylko było lepiej!

TJALDE. Każdy musi nieść swój krzyż.

PANI TJALDE (*chwyciła poręcz od schodów, Tjalde przestaje ją podpierać*). A gdybyśmy tak razem ten krzyż nieśli?

TJALDE. Ty moich kupieckich spraw nie rozumiesz... ja o twoich kłopotach nie miałem dotychczas pojęcia.

PANI TJALDE. Ach... Nie miałeś (*zwolna idzie na górę po schodach*).

Tjalde. Może ci pomódz?

Pani Tjalde. Nie... Dziękuję ci.

Tjalde (*sam*). Czy ona cokolwiek przeczuwa?... Ona zawsze jest taka... Zupełnie pozbawiła mnie odwagi... Ale innego wyjścia nie mam! Aha, a pieniądze! Może zostało jeszcze cokolwiek...? (*Śpieszy do pulpitu*, *wysuwa szufladę*, *wyjmuje kasetkę z pieniędzmi, odlicza pewną kwotę, przytem podnosi głowę i spostrzega żonę*, *która usiadła na stopniu schodów*). Co ci się stało, Nanno?!

Pani Tjalde. Chwilowe osłabienie... Ale już idę! (*Powstaje i wychodzi zwolna po schodach*).

Tjalde. Biedaczka, zupełnie straciła siły! (*opanowuje się*). Nie!—5, 6, 8, 10... Za mało! Przecież... cokolwiek... jeszcze być musi (*szuka*)... a gdyby nie starczyło, to mam jeszcze zegarek z łańcuszkiem... 20... 24... Nie, więcej już niema. Ale papiery. Tych nie mogę w żaden sposób zapomnieć! (*Szuka papierów*, *wyjmuje je i kładzie na pulpit*). Podłoga pali mi się pod stopami... Czemuż ona nie wraca? Torba przecież jeszcze spakowana... Ale jak ona cierpieć będzie! W każdym

razie mniej, niż gdybym tu został... Ludzie będą wtedy litościwsi... dla niej... i dla dzieci. Ach—dzieci! (*znów opanowuje się*). Gdybym już był daleko... Daleko, daleko! Myśli przyjdą wówczas do głowy!.. Ach, już wraca! (*głośno ze współczuciem*). Może ci pomódz?

PANI TJALDE. Tak... Dziękuję... Proszę cię, weź tę torbę!

TJALDE (*bierze od niej torbę; ona schodzi zwolna*). Ale czemu ona jest cięższa, niż była przedtem?

PANI TJALDE. Tak?

TJALDE. Muszę tam włożyć niektóre papiery. (*Podchodzi do pulpitu. Chowa pieniądze do kieszeni. Papiery wkłada do torby*). Ależ dziecko moje tu są jakieś pieniądze!

PANI TJALDE (*przystępując zwolna ku niemu*). Tak... trochę złota... Dawałeś mi przecież od czasu do czasu... Zdawało mi się, że teraz będzie ci potrzeba.

TJALDE. Ależ to duża suma.

PANI TJALDE (*uśmiechając się*). Ty sam nie wiesz ile mi dawałeś.

TJALDE. Ona wie wszystko! —Nanno! (*bierze ją w objęcia*).

Pani Tjalde. Hermanie! (*tulą się do siebie, płacząc głośno. Pani Tjalde wysuwa się z jego ramion — szeptem*). Czy mam zawołać dzieci?

Tjalde (*również szeptem*). Nie! Nie mów im nic... Dopiero później (*Znowu biorą się w objęcia*).

(*Pauza*).

Tjalde (*biorąc torbę podróżną*). Stań przy oknie, abym cię mógł widzieć, wsiadając na konia (*zamyka torbę, idzie szybko ku drzwiom, staje, odwraca się*). Nanno!

Pani Tjalde. Hermanie!

Tjalde. Przebacz mi!

Pani Tjalde. Wszystko ci przebaczyłam!

Tjalde (*otwiera drzwi, spotyka w nich służącego niosącego list. Odbiera list. Służący wychodzi*). Od Berenta?... (*Rozdziera kopertę, stojąc w otwartych drzwiach, czyta list; potem niosąc torbę w ręku, powraca, podchodzi ku przodowi sceny i czyta list po raz drugi*).

«Wychodząc od pana, zauważyłem przed domem osiodłanego konia. Chcąc nie dopuścić do jakiegokolwiek niepo-

rozumienia, uważam za stosowne zawiadomić pana, że dom jego jest strzeżony przez policję.

Z poważaniem

Berent.»

Pani Tjalde (*opierając się silnie o pulpit*). Więc nie możesz odjechać?

Tjalde. Nie. (*Pauza. Tjalde kładzie na stole torbę i ociera spocone czoło*).

Pani Tjalde. Hermanie! Pomódlmy się razem!

Tjalde. Czego ty chcesz?

Pani Tjalde. Pomódlmy się razem... zwróćmy się do Boga z prośbą o pomoc! (*wybucha płaczem*).

Tjalde *milczy*.

Pani Tjalde. Chodź! Pomódlmy się! (*pada na kolana*). Bo widzisz przecież, że ludzie nic tu już nie pomogą.

Tjalde. I modlitwa nic nie pomoże.

Pani Tjalde! Sprobuj... teraz w chwili największej potrzeby!

Tjalde *walczy ciężko sam z sobą*.

Pani Tjalde. Nigdyś nie chciał! Nigdyś nam nic nie powiedział, nigdyś się do tego Boga nie zwrócił!... Nigdy, wobec nikogo nie byłeś szczery!

Tjalde. Dosyć!

Pani Tjalde. Ale to, coś za dnia w sobie zamykał, toś w nocy wypowiadał bezwiednie,—my, ludzie, musimy mówić o swoich troskach! A ja czuwałam i słuchałam tej spowiedzi. I wiesz teraz, dlaczego już do niczego nie jestem zdolną. Ani snu w nocy, ani zaufania we dnie,—więcej cierpiałam, niż ty!

Tjalde *rzuca się na fotel przy kominku.*

Pani Tjalde (*wstaje i podchodzi ku niemu*). Chciałeś uciec. Ale wówczas gdy uciekamy przed ludźmi, — wówczas On nam pozostaje! Czy myślisz, że jabym dziś jeszcze żyła, gdybym Jego nie miała!

Tjalde. Ileż razy ja czołgałem się na klęczkach i błagałem Go o pomoc, — a zawsze daremnie!

Pani Tjalde. Hermanie! Hermanie!

Tjalde. Dlaczego On nie błogosławił mej pracy i mej walce? Teraz wszystko mi obojętne!

Pani Tjalde. Ach... A więc jeszcze gorsze chwile przyjdę na nas!

Tjalde (*wstając*). Tak. — Najgorsze są jeszcze przed nami...

Pani Tjalde. Bo są w nas samych! (*Pauza*).

SCENA II.

Tjalde, Pani Tjalde, Walpurga.

Walpurga *pojawia sie na schodach, staje nagle, ujrzawszy rodziców.*

Pani Tjalde. Co powiesz, moje dziecko?

Walpurga (*panując nad swem wzburzeniem*). Zobaczyłam z okna, że policja strzeże nasz dom... A teraz nadchodzą urzędnicy sądowi...

Pani Tjalde (*siadając na fotelu, z którego powstał jej mąż*). Tak, moje dziecko... twój ojciec po długiej, nadludzkiej walce, której dzieje znane są Bogu i mnie, przed chwilą właśnie ogłosił niewypłacalność.

Walpurga *zeszła o kilka stopni niżej; zatrzymuje się w tej chwili. Pauza.*

Tjalde (*nie mogąc już zapanować nad sobą, wybucha namiętnie*). Rzuć mi

teraz w twarz, — to wszystko, co Nanna Muller powiedziała swojemu ojcu!

Pani Tjalde *(powstając)*. Ty tego nie zrobisz, Walpurgo! — Bóg jeden ma prawo sądu.

Tjalde. Powiedz mi, że cię sponiewierałem (*coraz bardziej podniecony*) — że mi tego nigdy nie wybaczysz... że niepowrotnie straciłem twoją miłość i twój szacunek!...

Pani Tjalde. Dziecko! Dziecko!

Tjalde. No, przecież twoje oburzenie, twój wstyd nie mają granic!

Walpurga (*zbiegając po schodach*). Ojcze!... Ojcze! (*Wybiega drzwiami wchodowemi*).

Tjalde *idzie w głąb, jakby chciał wyjść za nią, zatacza się jednak u schodów i opiera się o poręcz!*

Pani Tjalde *pada bezsilnie na krzesło. Długa pauza.*

SCENA III.

Tjalde, Pani Tjalde, Jakobsen.

Jakobsen (*wchodzi w tem samem ubraniu, w którem był na obiedzie*

u Tjaldego, tylko zamiast surduta ma na sobie płócienną bluzę. Wchodzi przez drzwi w głębi. Tjalde zauważa go dopiero gdy stanął tuż za nim; wyciąga ręce, jakby chciał się przed nim obronić. Jakobsen przystępuje wprost ku Tjaldemu i woła drżącym z oburzenia głosem). Łotrze!

Tjalde *cofa się.*

Pani Tjalde. Jakobsen! Jakobsen!

Jakobsen (*nie słyszy jej wcale*). Wracam w tej chwili z sądu. Księgi i papiery browaru zabrane. Praca w browarze zatrzymana. W fabryce także.

Pani Tjalde. Boże mój!

Jakobsen. Ja poręczyłem na więcej, niż posiadam. (*Mówi przyciszonym głosem, który drży jednak z gniewu i rozdrażnienia*).

Pani Tjalde. Panie Jakobsen!

Jakobsen (*zwraca się do pani Tjalde*). Ja mu zawsze mówiłem, kiedy mi kazał podpisywać weksle, że tyle nie mam, że to jest źle! — A on mi powtarzał: to tylko formalność. — A ja odpowiadałem, że to nieuczciwa formalność, a on na to, że tak wszyscy kupcy robią i że to jest

ogólny zwyczaj. — A ja tylko tyle rozumiem się na interesach, co on mnie nauczył—i wierzyłem mu (*coraz bardziej rozdrażniony*).

I tak mnie zwodził za każdym razem. A teraz więcej jestem winien, niżbym mógł przez całe życie spłacić. Będę żył jako oszust i umrę jako oszust. I co pani na to?!

Pani Tjalde *milczy*.

Jakobsen (*do Tjaldego, który stoi nieruchomy, zapatrzony przed siebie*). Słyszysz? Ona musi milczeć!... Ty łotrze!

Pani Tjalde. Panie Jakobsen!

Jakobsen (*od czasu do czasu to opanowując się, to wybuchając*). Dla pani mam cześć największą... Ale on doprowadził mnie do tego, żem stał się oszustem! Za jego namową unieszczęśliwiłem mnóstwo ludzi! Oni mnie wierzyli, a ja wierzyłem jemu. Mówiłem im, że to dobroczyńca okolicy, że trzeba mu dopomódz w tych ciężkich czasach...

A teraz nie jedna uczciwa rodzina dachu nie będzie mieć nad głową, wypędzą ją z chaty, z gruntu. On mnie do tego doprowadził! Człowiek bez serca i bez su-

mienia! (*do Tjaldego*). Nie wiem... palce mnie tak świerzbią... Ach, jakbym ja cię niemi dotknął... (*czyni ruch groźny*).

Pani Tjalde (*zrywa się*). Panie Jakobsen! Ja pana...

Jakobsen (*cofając się*). Tak! Dla pani! Bo dla pani to ja mam cześć jaknajwiększą. Ale jakże ja będę mógł spojrzeć w oczy ludziom, których doprowadziłem do nieszczęścia? Po co to pani opowiadać, kiedy to im nie odda kawałka chleba! I jakże ja mogę stanąć teraz przed swoją żoną! (*wybucha podniecony*) A ona miała takie zaufanie do mnie... i do tych, którym ja ufałem!... A potem dzieci!... Co te dzieciaki usłyszą na ulicy! Pierwszy lepszy im powie, że ich ojciec to...! A przedewszystkiem powiedzą im to dzieci tych, których ja wpędziłem w nędzę!

Pani Tjalde. A więc widzi pan!... Teraz pan najlepiej czuje, co to jest! Dlatego też nie znęcaj się pan nad innymi i miej litość!

Jakobsen. Dla pani ja mam cześć jaknajwiększą, — ale to strasznie pomyśleć, że w domu kawałka chleba nie będzie

i nic, o czembym mógł powiedzieć, że to moje! — Bo ja teraz więcej mam długów, niż przez całe swoje życie mógłbym spłacić! — To straszne, proszę pani, straszne! — A gdzież te moje wieczory ciche, spokojne, z dziećmi?... a gdzie moje niedziele?... Ale... I on mnie popamięta!... Ty łotrze! Ja cię będę prześladować dniem i nocą.

Tjalde *przerażony cofa się przed nim ku drzwiom wchodowym, w których zjawia się w tej chwili zarządca masy konkursowej. Towarzyszą mu dwaj świadkowie i Sannas. Tjalde cofa się, idąc wstecz i zataczając się. Doszedł do pulpitu, opiera się, zwrócony plecami do wchodzących.*

SCENA IV.

Tjalde, Pani Tjalde, Jakobsen, Zarządca masy konkursowej, Sannas.

Zarządca masy konkursowej *(stojąc w drzwiach)*. Przepraszam! Proszę o księgi i papiery!... (*Tjalde drgnął przera-*

żony, podchodzi do kominka i opiera się o niego).

JAKOBSEN (*podchodzi ku niemu i szepcze mu do ucha*) Łotrze! (*Tjalde znów cofa się od kominka, odchodzi i skrywając twarz w dłoniach, siada na krześle przy drzwiach*).

PANI TJALDE (*wstaje, szeptem*). Panie Jakobsen! (*Jakobsen zbliża się do niej*) Panie! On nie miał zamiaru nikogo oszukać! Łotrem nigdy nie był i nie będzie! (*siada*).

JAKOBSEN. Dla pani ja mam cześć jaknajwiększą! Ale jeżeli on nie jest łotrem i oszustem, to nikt nim nie jest! (*zaczyna płakać*).

PANI TJALDE *w okropnym bólu ukrywa twarz w dłoniach, bezsilnie opadając na fotel.*

Krótka pauza. W dali słychać rosnący coraz bardziej hałas setek głosów. Zarządca masy konkursowej i świadkowie przerywają swą czynność poszukiwania i spisywania; wszyscy nasłuchują).

PANI TJALDE (*przerażona*) Co to? (*Sannas i zarządca masy konkursowej*

stają przy pierwszem oknie po lewej stronie. Jakobsen staje przy drugiem).

JAKOBSEN. To robotnicy z warsztatów okrętowych, z browaru i fabryki (*przystępując do pani Tjalde*). Cały ruch wstrzymany... Ale dziś wypłata, a pieniędzy niema! (*Zarządca masy konkursowej i świadkowie wracają do swego zajęcia).*

TJALDE (*zrozpaczony podchodzi na przód sceny*). O tem na śmierć zapomniałem!

JAKOBSEN (*podchodząc ku niemu*). Tak! Zejdź teraz do nich! Oni ci powiedzą co myślą!... Ty łotrze!

TJALDE (*otwierając torbę podróżną, mówi szeptem*). Tu są pieniądze! Ale samo złoto. Weź pan to! Zmień pan i wypłać!

PANI TJALDE (*również szeptem*). Tak... Zrób pan to.

JAKOBSEN (*również szeptem*). Skoro pani mnie o to prosi, to... A tak! — Tu są pieniądze w torbie... (*otwierając torbę*) Wszystko spakowane!... A więc on chciał jeszcze uciec w dodatku!... I to

z pieniędzmi na wypłatę... A łotr! łotr! (*Słychać hałas tuż za sceną*).

Pani Tjalde (*w chwili gdy mąż jej się odwrócił, szeptem*). Śpiesz się pan... bo gotowi tu wejść.

Jakobsen (*również szeptem*). Idę już...

Zarządca masy konkursowej (*zastępuje mu drogę*). Przepraszam pana! Ale stąd nikomu nic wynieść nie wolno, dopóki wszystko nie zostanie spisane.

Jakobsen. Dziś wypłata, a tu są pieniądze dla robotników.

Pani Tjalde. Pan Jakobsen jest odpowiedzialny za to i sam złoży rachunki.

Zarządca masy konkursowej. A to co innego. Jakobsen to uczciwy człowiek (*powraca do swego zajęcia*).

Jakobsen (*zwraca się do pani Tjalde i mówi szeptem, głęboko wzruszony*). Słyszała pani? I on także nazywa mnie uczciwym człowiekiem!... Ale wkrótce już nikt mnie tak nie nazwie!... (*Wychodzi, ale tak, aby przejść koło Tjaldego, któremu szepcze do ucha*) Łotrze! Ja tu wrócę!

Zarządca masy konkursowej (*skończywszy swą czynność, zbliża się do Tjal-*

dego). Przepraszam pana... Musimy prosić o klucze do mieszkania rodziny pana!

Pani Tjalde (*odpowiada za męża*). Gospodyni pójdzie z panami... Panie Sannas—tu jest kluczyk od szafki z kluczami (*Sannas bierze od niej kluczyk*).

Zarządca masy konkursowej (*patrząc na gruby łańcuch od zegarka u Tjaldego*). To, co kto nosi przy sobie, to nas nic nie obchodzi, ale gdyby pomiędzy tem były przedmioty wartościowe i klejnoty...

Tjalde *zaczyna odpinać łańcuch.*

Zarządca masy konkursowej. O nie! Może to pan przy sobie zachować...

Tjalde. Ja nie chcę tego mieć przy sobie!

Zarządca masy konkursowej. Jak pan sobie życzy. (*Każe jednemu ze świadków odebrać zegarek z łańcuszkiem*). Moje uszanowanie! — (*Ostatniej scenie przypatrywała się Signe i stojący za nią w drzwiach kantoru Hamar*).

Zarządca masy konkursowej (*chce wyjść wraz z świadkami i Sannasem przez drzwi po prawej*). Drzwi są zamknięte.

TJALDE (*jakby zbudzony ze snu*). Ach, prawda. (*Idzie ku drzwiom i otwiera je. Zarządca masy konkursowej, Sannas i świadkowie wychodzą*).

SCENA V.

TJALDE, PANI TJALDE, SIGNE, HAMAR, SANNAS (tylko na chwilę) później WALPURGA.

SIGNE (*wpadając z krzykiem*). Mamo! (*rzuca się przed nią na kolana*).

PANI TJALDE. Tak, moje dziecko, nastały dla nas dni próby i cierpienia, a zdaje mi się, żeśmy wszyscy za słabi by je znieść cierpliwie.

SIGNE. Mamo, co z nami będzie...?

PANI TJALDE. To w ręku Boga.

SIGNE. Ja z Hamarem jadę do ciotki Ulli... Natychmiast odjeżdżamy.

PANI TJALDE. To pytanie tylko, czy ciotka Ulla przyjmie cię do swego domu.

SIGNE. Ciotka Ulla?... Co ty mówisz?

PANI TJALDE. Byłaś córką bogatego człowieka, więc nie znasz życia.

SIGNE (*zwraca się do Hamara*). Czy ciotka Ulla przyjmie mnie do siebie?

HAMAR (*po chwili namysłu*). Nie wiem...

PANI TJALDE. Słyszysz sama, moje dziecko. Przez te kilka godzin nauczysz się więcej, niż dotychczas przez całe swoje życie...

SIGNE (*przerażona, pyta szeptem*). Mamo! Czyżbyś...

PANI TJALDE. Cicho, dziecko! (*Signe ukrywa głowę na łonie matki. Słychać grzmiący śmiech, jakby setek ludzi*).

HAMAR (*rzuca się ku pierwszemu oknu po lewej stronie*). Co to się stało?

SANNAS *wchodzi przez drzwi z prawej strony i śpieszy ku drugiemu oknu. Tjalde pani Tjalde, Signe zrywają się.*

HAMAR. Kasztan. To kasztan! Porwali go w swoje ręce!

SANNAS. Wprowadzili go na schody. Udają, że go licytują!

HAMAR. Maltretują go! (*Sannas wybiega szybko. Hamar bierze rewolwer z pulpitu i probuje czy jest nabity*). Ja...

SIGNE. Co chcesz robić? (*Ponieważ Hamar chce wyjść, Signe dogania go i zatrzymuje*).

HAMAR. Puść mnie!

Signe. Powiedz mi pierwej co chcesz robić?!... Chcesz wyjść do tych ludzi? Sam jeden?

Hamar. Tak.

Signe (*chwyta go obydwoma rękami*). Nie wyjdziesz stąd.

Hamar. Uważaj, rewolwer nabity.

Signe. Co ty chcesz z nim zrobić?

Hamar (*wyrywając się z jej rąk, mówi stanowczo i dobitnie*). Koniowi chcę w łeb strzelić! To za szlachetne zwierzę dla tej hołoty! Nie dam go zlicytować... ani na żarty, ani na serjo!...—Ale ja najlepiej stąd go trafię (*śpieszy ku pierwszemu oknu z lewej strony*).

Signe (*goniąc go, krzyczy prawie*). Możesz zranić kogo!

Hamar. O nie! Za dobrze strzelam! (*celuje*).

Signe. Papo! Jeżeli stąd padnie strzał...

Tjalde (*podbiega*). Koń należy do masy konkursowej... Tak samo jak rewolwer!

Hamar. Czasy, kiedym pozwalał sobą komenderować, minęły już bez powrotu! (*Tjalde chwyta za rewolwer, strzał pada. Signe rzuca się ku matce, krzycząc.*

Za sceną tuż pod oknem rozlega się wrzask: Strzelają do nas! Strzelają do nas!

W tej samej chwili daję się słyszeć brzęk mnóstwa stłuczonych szyb. Do pokoju wpadają kamienie. Za sceną słychać śmiechy i krzyki.

Walpurga wpada przez drzwi w głębi, staje przy oknie, zasłaniając ojca sobą.

KILKA GŁOSÓW (*za sceną*). Za nami chłopcy!

HAMAR (*woła przez okno, celując z rewolweru*). Sprobójcie się zbliżyć!

PANI TJALDE)
SIGNE) (*równocześnie*). Idą tu!

WALPURGA. Ty nie strzelisz (*Staje przed Hamarem, zasłaniając mu okno*).

TJALDE. Sannas przyprowadzi policję!

Ponad wrzaskiem tłumu góruje rozkazujący głos: Precz!—*Hałas trwa dalej, ale coraz słabszy i coraz dalszy. Wkrótce wszystko cichnie.*

PANI TJALDE. Dziękujmy Bogu! On nas wyratował z wielkiego niebezpieczeństwa. (*Pada na kresło bezsilna*).

Pauza.

Pani Tjalde. Hermanie! Jesteś?

Tjalde *zbliża się do żony, kładzie rękę na jej głowie, ale natychmiast odwraca się i chodzi szybko po pokoju*).

Pauza.

Signe (*klęcząc koło matki*). Ale czy oni już nie wrócą?... Czy nie lepiej by było stąd oddalić się?

Pani Tjalde. A dokądże my możemy stąd pójść?

Signe (*zrozpaczona, ale spokojna*). Ale co z nami będzie?

Pani Tjalde. Będzie, co Bóg chce.

Pauza.

Hamar *cofa się tymczasem niepostrzeżenie wstecz, kładzie rewolwer na krzesło, otwiera drzwi i wymyka się cichaczem.*

Walpurga (*szeptem*). Signe! Obejrzyj się!

Signe *wstaje, ogląda się, widzi wychodzącego Hamara, z piersi jej wydobywa się cichy okrzyk*).

Pani Tjalde. Co się stało?

Signe. Wiedziałam, że tak będzie.

Pani Tjalde (*przerażona*). Co się stało?

Walpurga. Nic mamo! — Każda bo-

gata rodzina ma swego porucznika, — nasz uciekł w tej chwili. Ot i wszystko.

PANI TJALDE (*wstając do Signy*). Moje dziecko!

SIGNE. Mamo!... (*rzuca się w jej objęcia*).

PANI TJALDE. Tak znika jedno kłamstwo za drugiem! Nie żałujmy tego!

SIGNE (*płacząc*). Mamo...Mamo!

PANI TJALDE. To lepiej, że się tak stało!—Nie płacz dziecko!

SIGNE. Ja też nie płaczę za nim! — Ale się wstydzę! Ja się tak strasznie wstydzę! (*płacze*).

PANI TJALDE. Mnie spotyka ten wstyd, bom nie miała siły przeszkodzić temu, co uważałam za złe!

SIGNE (*jak wyżej*). Mamo!

PANI TJALDE. Tak! Wkrótce będziemy już zupełnie opuszczeni i samotni... Ale przynajmniej nic nam nie pozostanie, coby nam zabrać mogli.

WALPURGA (*w najwyższem podnieceniu*). Tak, mamo!... Teraz i ja was opuszczę!

SIGNE (*zwraca się do siostry*). Ty? — Opuścisz nas?!—I to teraz?!

WALPURGA (*wzruszona*). Musimy się rozstać!—Ja muszę zacząć pracować sama na siebie!

SIGNE (*zwrócona ku siostrze, obrócona plecami do widzów*). A co ja mam z sobą zrobić?... Kiedy ja nic nie umiem!...

PANI TJALDE (*pada znów na fotel*). Byłam złą matką, bo nie potrafię w takiej chwili zatrzymać przy sobie swoich dzieci!

WALPURGA (*w namiętnym wybuchu*). My przecież teraz nie możemy razem pozostać. Nie możemy poniżyć się do tego stopnia, żeby nas masa konkursowa żywiła! Dosyć długo żyliśmy już...

PANI TJALDE. Cicho! Ojciec twój jest tutaj (*milczenie*). Dziecko, co ty zamierzasz z sobą...?

WALPURGA (*opanowywa się, mówi spokojnie*). Wstąpię do kantoru konsula Holsta... Tam nauczę się buchalterji!... i sama zapracuję na swoje utrzymanie!

PANI TJALDE. Ale czy ty wiesz jaka przyszłość cię czeka?

WALPURGA. Wiem jaką przeszłość zostawiam za sobą.

SIGNE. A ja będę wam ciężarem, bo ja nic nie umiem...

WALPURGA. Ty nic nie umiesz?... Idź między obcych ludzi, choćby za służącę! Co to szkodzi?! — Ale żyć z cudzych pieniędzy! Ani dnia, ani godziny!

SIGNE. A co z mamą będzie?

PANI TJALDE. Ja zostanę z ojcem twoim.

SIGNE. Ty?! Sama?—Chora? Sama?

PANI TJALDE. Nie. Ja nie będę sama. Ojciec wasz będzie ze mną.

TJALDE *podchodzi ku niej, całuje ją w rękę, którą ona mu podaje, klęka przy niej i składa głowę na jej kolana).*

PANI TJALDE (*gładząc mu włosy*). Przebaczcie swemu ojcu, dzieci! To najpiękniejsze co możecie uczynić. (*Tjalde wstaje, idzie w głąb. — Służący wchodzi z listem*).

SIGNE (*cofa się przerażona*). List od niego!... Nie chcę!... Nie! Nic nie chcę o nim słyszeć! (*Służący podaje list Tjaldemu*).

TJALDE. Ja nie przyjmuję już żadnych listów.

WALPURGA. Od Sannasa...?

TJALDE. I on także!

Pani Tjalde (*do Walpurgi*). Weź list i przeczytaj, dziecko! Wychylmy ten kielich goryczy do dna! (*służący oddaje list i wychodzi*).

Walpurga *otwiera list, przebiega go szybko, potem czyta ponownie głośno, podniecona trochę*.

Szanowny Panie Pryncypale!

Panu zawdzięczam wszystko od dnia, kiedy wstąpiłem jako chłopiec w dom pański. Raczy mi więc pan wybaczyć moją śmiałość.

Jak panu wiadomo przed ośmiu laty otrzymałem niewielki spadek. Obracałem tym kapitalikiem, zwracając się szczególniej ku tym gałęziom przemysłu, na które większe firmy nie zwróciły dotychczas uwagi.

(*Walpurga na chwilę przerywa, potem czyta dalej*).

Zarobione w ten sposób pieniądze— około 7,000 talarów — ośmielam się ofiarować do dyspozycji pana pryncypała na dowód czci i wdzięczności, bo przecież panu tylko zawdzięczam, żem je wogóle mógł zebrać. Zresztą pan

prędzej i pewniej je pomnoży, niżbym ja to potrafił.

Gdybym przytem mógł być potrzebnym panu, to proszę mną rozporządzać, bo najgorętszem pragnieniem mojem jest pracować dalej pod kierownictwem pana.

Proszę mi wybaczyć, że dziś dopiero zwracam się z tem do pana. Inaczej zrobić nie mogłem.

S. Sannas.»

TJALDE *podczas czytania listu wysuwa się coraz bardziej ku przodowi sceny. Stanął wreszcie obok żony.*

PANI TJALDE (*do męża*). Że choć jeden z pośród tych wszystkich, którym dopomogłeś, zwraca się w takiej chwili do ciebie i staje po twej stronie—to już powinno być dla ciebie dostateczną nagrodą!

TJALDE *w milczeniu potakuje ruchem głowy, potem odchodzi w głąb.*

PANI TJALDE. Dzieci moje.—Ten obcy człowiek trwa przy waszym ojcu i wierzy w niego!

(Pauza).

Signe *stoi przy pulpicie i płacze. Tjalde kilkakrotnie przechadza się wzdłuż i wszerz w głębi, potem zwolna wchodzi po schodach na górę.*

Walpurga. Chciałabym bardzo pomówić teraz z Sannasem...

Pani Tjalde. Tak! Zrób to, moje dziecko! Ja teraz nie mogę, a ojciec z pewnością także nie.—Pomów więc ty z nim!... (*wstaje, do Signy*). Chodź dziecko, otworzysz przedemną twoje serce... Ach, myśmy nigdy nie mogły mówić z sobą otwarcie i szczerze!

Signe *przystępuje do matki i z wielką tkliwością obejmuje ją.*

Pani Tjalde. Gdzie ojciec?

Walpurga. Poszedł na górę.

Pani Tjalde (*wspierana przez Signę*). Na górę? Tak! — Musi spocząć! — A jednak tam chyba nie znajdzie spoczynku... (*idzie*). To był ciężki, straszny dzień!... Ale Bóg da, że wszystko się zwróci ku dobremu! *(Oparta o Signę wychodzi przez drzwi po prawej stronie*).

Walpurga *(podchodzi ku drzwiom w głębi i dzwoni*). Jeżeli pan Sannas

jest tutaj, to proszę go poprosić, żeby wszedł na chwilę. (*Służący wychodzi. Walpurga mówi sama do siebie).* Może nie przyjdzie gdy się dowie, że to ja chcę z nim mówić (*nasłuchuje*). Idzie. (*Podchodzi ku przodowi sceny*).

SCENA V.

WALPURGA, SANNAS.

SANNAS ((*wchodzi, zatrzymuje się przy drzwiach ujrzawszy Walpurgę, i chowa natychmiast ręce za plecy*). Czy to pani?

WALPURGA. Proszę, niech pan podejdzie bliżej.

SANNAS *robi kilka kroków naprzód ostrożnie i niepewnie.*

WALPURGA (*przyjaźnie*). Jeszcze bliżej!

SANNAS *podchodzi szybko bliżej.*

WALPURGA. Pan napisał list do mego ojca.

SANNAS (*po chwili namysłu*). Tak.

WALPURGA. W tym liście złożył pan mu piękną propozycję.

SANNAS (*jak wyżej*). Tak... tak, to

znaczy, że to się rozumiało samo przez się.

Walpurga. Tak? Mnie się zdaje, że nie. W każdym razie taki postępek przynosi zaszczyt temu, który się na to zdecydował.

Milczenie.

Sannas. Ale spodziewam się, że on to przyjął...

Walpurga. Nie wiem.

Sannas (*po chwili namysłu, smutnie*). Więc nie przyjmie... Nie?.. Nie przyjął...

Walpurga. Mówię panu, że nie wiem... Zależy to zapewne od tego, czy będzie mógł przyjąć...

Sannas. Mógł?!...

Walpurga. Tak.

Milczenie.

Sannas (*trochę nieśmiało*). Czy pani ma jeszcze jakie rozkazy dla mnie?...

Walpurga (*uśmiecha się*). Rozkazy?... Ja nie mam prawa rozkazywać... Pan także oświadczył w tym liście gotowość pozostania przy moim ojcu.

Sannas. Tak... tak, to znaczy jeżeli ojciec pani życzył by sobie tego.

Walpurga. Nie wiem... W takim razie oprócz matki i pan by pozostał przy nim... zresztą nikt...

Sannas. Ach... tak? A pani i pani siostra?

Walpurga. Co do siostry mojej nie wiem jeszcze nic stanowczego... Ale ja opuszczam ten dom jeszcze dzisiaj.

Sannas. Więc pani chce...

Walpurga. Chcę szukać posady w jakim kantorze. Ojciec mój będzie więc teraz bardzo samotny *(chwila milczenia)* Zapewne pan sobie tego tak nie wyobrażał?

Sannas. No... mnie... tak, to znaczy, że w takim razie ojciec pani i mnie nie będzie potrzebował.

Walpurga. Będzie. Z pewnością będzie. — Ale jakie widoki pan ma w tem, żeby swoją egzystencję łączyć z egzystencją mego ojca? To tak niejasne i niepewne, co mu przyszłość przyniesie...

Sannas. Widoki?

Walpurga. Rozumie się. Młody człowiek musi przecież mieć jakieś widoki i jakieś cele!

Sannas. Tak... Tak, to znaczy... tak, to

znaczy... ja tylko myślałem, że w pierwszych chwilach będzie mu ciężko samemu dać sobie radę...

WALPURGA. Ale pan! — Przecież pan musi mieć jakieś plany—co do przyszłości?

SANNAS (*zmieszany*). Jabym wolał nie mówić o sobie...

WALPURGA. Ale ja chcę o tem mówić! Przecież nie można panu wyrządzać szkody przez przyjęcie pańskiej propozycji.

SANNAS. Co do tego może pani być zupełnie spokojna.

WALPURGA. A więc pan już ma jakieś zamiary?

SANNAS. Jeżeli już koniecznie mam o tem mówić... Mam w Ameryce zamożnych krewnych, którzy już od wielu lat wzywają mnie do siebie. Mogę tam dostać dobrą posadę, natychmiast.

WALPURGA. Tak?... A dlaczego pan już od dawna nie przyjął tak świetnej propozycji? Przecież —o ile mi wiadomo, pan niema tu rodziny?

SANNAS *milczy*.

WALPURGA. Więc to było ofiarą

z pańskiej strony, że pan tak długo pracował u mego ojca?...

SANNAS *milczy*.

WALPURGA. A jeszcze większą ofiarą byłoby, gdyby pan jeszcze i teraz pozostał przy nim?...

SANNAS (*bardzo zmieszany*). Otwarcie muszę przyznać, że tak o tem nie myślałem.

WALPURGA. Ależ w takim razie ojciec nie może przyjąć pańskiej propozycji.

SANNAS (*przerażony*). Dlaczego?

WALPURGA. Dlatego, żeby to była zawielka ofiara. To mogłoby wprost zniszczyć całą pańską przyszłość!... A ja się temu sprzeciwię stanowczo.

SANNAS (*prawie błagalnie*). Pani?...

WALPURGA. Tak, ja.—Czasy nadużyć już minęły.

SANNAS. Nadużyć?... to, co mnie samemu jest tak drogie, on miałby...

WALPURGA. ...przyjąć najspokojniej w świecie? Tak pan sądzi?

SANNAS. Ależ ja nie widzę najmniejszej przeszkody.

WALPURGA. Pomówię z ojcem i przekonam go.

Sannas. Więc dlaczego pani chce się sprzeciwić temu, jeżeliby on sam nawet...

Walpurga (*zawsze przyjacielsko*). Bo mnie się zdaje, że ja wiem więcej, niż on.

Sannas. O... czem?

Walpurga (*po chwili namysłu*). O powodach, dla których pan tyle poświęcił dla nas... dla których pan teraz jeszcze więcej chce poświęcić.

(*Milczenie*).

Sannas *opuścił głowę, zasłania twarz rękami, ale natychmiast chowa je za plecy, stoi pochylony naprzód, ze spuszczoną głową.*

Walpurga (*przyjaźnie, ale stanowczo*). Od dziecka nauczyłam się szukać przyczyn każdego czynu i każdego słowa.

Sannas (*nie zmieniając postawy, spokojnie*). Nauczyła się pani być gorzką, twardą i niesprawiedliwą.

Walpurga (*drgnęła w pierwszej chwili, opanowuje się jednak i mówi dalej spokojnie i przyjaźnie*). Myli się pan. Nie przez gorycz i niesprawiedliwość mówię to w tej chwili, ale dlatego, że myślę o pańskiej przyszłości... i chciałabym panu oszczędzić zawodu.

Sannas *(przykro dotknięty)*. Pani!

Walpurga. Bądź pan szczery wobec siebie, — a wtedy trafniej osądzi pan to, co teraz powiedziałam.

Sannas. Czy pani ma jeszcze jakie rozkazy dla mnie?

Walpurga. Ja nie mam prawa rozkazywać. Powiedziałam to panu już raz. Ale chcę pana pożegnać. I dziękuję panu serdecznie za wszystko dobre, jakie pan mnie i nam wszystkim wyświadczył. Żegnam pana serdecznie! A jeżelibyśmy się już nigdy w życiu nie mieli spotkać, w każdym razie wspominać pana będę zawsze życzliwie. Żegnam pana, może na zawsze!

Sannas *kłania się*.

Walpurga. Nie chce pan mi podać ręki? — Prawda, obraziłam pana. To też proszę o przebaczenie (*urywa na chwilę*) A także ze swojej strony przebaczam panu, bo pan mnie pierwszy obraził!...

Sannas. Ja?... Ja pani nigdy niczem nie obraziłem!

Walpurga. Owszem... Ośmieszyć kobietę w oczach innych ludzi,—czy to nie jest obrazą?

SANNAS *kłania się i chce odejść.*

WALPURGA. Ależ panie! Rozstańmy się jako dobrzy, szczerzy przyjaciele! Pan pojedzie do Ameryki—ja pójdę między obcych ludzi—każde z nas z innem, ale równie ciężkiem i bolesnem uczuciem, z zmarnowaną przeszłością w nieznaną przyszłość! Rozstańmy się więc życząc sobie wzajemnie wszystkiego najlepszego... My przecież zawsze pragnęliśmy tylko wzajemnego dobra!...

SANNAS (*wzruszony*). Żegnam panią (*odchodzi*).

WALPURGA. Panie Sannas, podaj mi pan rękę!

SANNAS (*zatrzymuje się*). Nie, pani!

WALPURGA. Nie bądź pan niegrzeczny! Na to nie zasłużyłam!

SANNAS *znów się zwraca ku drzwiom.*

WALPURGA (*surowo*). Panie!

SANNAS (*zatrzymuje się*). Mogłaby się pani powalać niemi: są zbyt czerwone! (*wyprostowuje się dumnie*).

WALPURGA (*zwalczywszy się*). Tak! Myśmy się wzajemnie obrażali. Ale dlaczegobyśmy nie mieli przebaczyć sobie... teraz kiedy się rozstajemy — i to kto wie na jak długo?!

Sannas. Dlatego, że mnie pani dziś znowu obraziła i to jeszcze dotkliwiej niż kiedykolwiek!

Walpurga. Nie! Tego już za wiele! Mówiłam tu z panem, ponieważ uważałam to za swój obowiązek! Bo nie mogłam pozwolić na to, ażeby z własnej winy znaleźć się w fałszywem położeniu. Uważałem to także za obowiązek swój wobec pana, ostrzedz go, żebyś nie miał żadnego złudzenia!—I to pan nazywa obrazą?!—Kto tu kogo obraził!

Sannas. Pani mnie. Tem, że pani mogła o mnie coś podobnego pomyśleć!... To obraza! I to wielka! Swojem okrucieństwem obrzydziłaś mi pani najradośniejszy czyn mojego życia!

Walpurga. W takim razie stało się to wbrew mojej woli i bezwiednie. Cieszy mnie to, żem się omyliła.

Sannas (*rozgniewany*). Panią to cieszy! Więc panią cieszy to, że ja nie jestem błaznem, ani głupcem!

Walpurga (*spokojnie*). Któż mówi o czemś podobnem?

Sannas. Pani to wyraźnie powiedziała! Zna pani moją słabą stronę... ale nie

wolno pani na tej podstawie posądzać mnie, że chcę się niejako ukryć w zasadzce i spekulować na nieszczęście jej ojca... Nie, tym, którzy podejrzewają mnie o takie podłe rachuby, ręki nie podaję.

A ponieważ pani tak nieprzerwanie raniła mnie i to tak boleśnie, więc straciłem wszelką obawę przed panią i wszystko otwarcie wypowiem. — Te ręce *(podnosi je ku niej)* poczerwieniały odmrożone w wiernej służbie dla ojca pani. To też córka jego powinna mieć w sobie tyle szlachetności, ażeby z tego nie drwić! (*zwraca się, by odejść — zatrzymuje się jednak*).

Nie. Jedno jeszcze! — Dziś niech pani prosi ojca swego o jego rękę i niech pani tę rękę mocno trzyma, zamiast opuszczać go w tym dniu, w którym go takie nieszczęście spotkało! To będzie stosowniejsze, niż troszczyć się o moją przyszłość. Bo ja sobie dam radę i bez tego! (*Chce odejść, ale raz jeszcze powraca*).

A jeśli w jego służbie — a teraz będzie to służba jeszcze cięższa, — ręce pani w uczciwej pracy poczerwienieją tak, jak

moje, wtedy pani zrozumie, jaką wielką krzywdę pani mi wyrządziła!—Teraz pani jest do tego niezdolna! (*Wychodzi szybko przez drzwi w głębi. Potrzebuje na to dłuższej chwili ponieważ stał u przodu sceny*).

WALPURGA (*zachmurzona*). Jakiż on był oburzony! *(poważnie)* ale jaki szczery!—*(patrzy za nim*).

TJALDE (*z góry*). Panie Sannas!

SANNAS (*odpowiada głośno z drzwi kantoru, widocznie jeszcze wzburzony).* Jestem tu!

TJALDE (*schodzi na dół*). Panie! Jakobsen idzie tu! Widziałem go przez okno. (*Śpieszy szybko na przód sceny widocznie w wielkim lęku, Sannas idzie za nim*). On mnie szuka! Przyjdzie tutaj! To tchórzostwo z mej strony, że ja go nie chcę widzieć—ale ja nie mogę!—Nie dzisiaj!—Nie teraz! – Ja nie mogę!... Zatrzymaj pan go! Nie puść pan go tu! — Ja wszystko zniosę! (*prawie szeptem*). tylko nie odrazu! (*Zasłania twarz rękami*).

SANNAS. On tu nie wejdzie... Niech

pan będzie spokojny! *(wychodzi szybko, pewnym krokiem).*

Tjalde (*zasłaniając twarz rękami*). Ciężko!... Jak to ciężko!

Walpurga *(podchodzi ku niemu*). Ojcze!

Tjalde *ogląda się przelękniony.*

Walpurga. Pieniądze, które ci Sannas ofiarowuje, możesz przyjąć bez namysłu.

Tjalde (*zdziwiony*). Co to ma znaczyć?

Walpurga. Ja... ja was teraz nie opuszczę. Zostanę przy was...

Tjalde (*niedowierzająco*). Ty?

Walpurga. Tak! Chcę nauczyć się buchalterji... Najłatwiej mi będzie w twoim kantorze.

Tjalde (*nieśmiało*). Nie rozumiem, co ty...

Walpurga. Nie rozumiesz mnie, ojcze? Chciałam wstąpić do kantoru... pracować na siebie... ale, kiedy mamy ten kapitalik, który Sannas oddaje... to możemy rozpocząć na nowo, razem... pomału spłacać wierzycieli...

Tjalde (*uradowany*, *ale onieśmielony*). Dziecko! Co za myśl! Kto ci ją poddał?

WALPURGA (*biorąc go za szyję*). Ojcze! Przebacz mi wszystkie przykrości, które ci wyrządziłam! Odtąd jedynem staraniem mojem będzie wynagrodzić ci to wszystko! Pracować będę z takim zapałem!

TJALDE (*jeszcze niedowierzając*). Dziecko! Moje dziecko!

WALPURGA. Czuję w sobie ogromną potrzebę pracy i przywiązania (*tuli się do ojca*). Ojcze mój, jakże ja cię kocham i jak ja pragnę pracować dla ciebie!

TJALDE. Nareszcie widzę cię taką, jaką jesteś wistocie! Dzieckiem jeszcze małem byłaś taka sama. Ale rozdzielono nas!

WALPURGA. Zapomnijmy o tem, co było i co minęło! Naprzód ojcze, naprzód! To niech będzie naszem hasłem!—Ojcze, pamiętasz: «zwracając się ku tym gałęziom przemysłu, na które wielkie firmy nie zwróciły dotychczas uwagi».

TJALDE. Więc i ciebie uderzyły te słowa?

WALPURGA. To coś dla nas! A potem, cichy zakątek, maleńki domek nad brzegiem morza... ja ci będę pomagała,

a Signe mamie... i dopiero wtedy żyć zaczniemy!

Tjalde. Boże! Co za radość!

Walpurga. Naprzód, ojcze, naprzód! Rodzina, która idzie naprzód solidarnie ręka w rękę jest niezwyciężona!

Tjalde. Taka pomoc w takiej chwili!

Walpurga. A teraz śpieszmy wszyscy na nasze stanowisko, na ten posterunek, na którym ty dotychczas stałeś sam jeden, samotny! — Dobre duchy będą cię otaczały. Dokąd spojrzysz, przez dzień cały będziesz widział tylko wesołe oczy i spracowane ręce! — Przy stole, w południe i wieczorem znów będzie tak wesoło, jak ongi, kiedyśmy były malemi dziećmi!

Tjalde. Takie szczęście, —dzisiaj!

Walpurga. Po burzy słońce się zawsze pojawia. A tej radości nikt nam nie odbierze, bo teraz mamy cel przed sobą jasny i wyraźny!

Tjalde, Teraz do matki, dziecko! Do niej z tą nowiną!

Walpurga. Boże... Ja dziś dopiero nauczyłam się kochać matkę.

TJALDE. Tak. To też odtąd wszyscy dla tej matki będziemy pracowali.

WALPURGA. Tak. Dla matki. Dla matki! Ona musi żyć teraz w spokoju i spocząć... Chodźmy do mamy!

TJALDE. Ale pierwej pocałuj mnie, moja córko!... (*wzruszony*) To już tak dawno...

WALPURGA (*całuje go*). Ojcze mój!

TJALDE. A teraz chodźmy do matki! (*oboje wychodzą*).

Akt IV.

W półtrzecia roku później.

Dzień jesienny nad brzegiem morza.

W szeroką, spokojnie falującą powierzchnię morza wysuwa się z prawej strony półwysep, tworząc zatokę, w której na kotwicy stoi statek z rozpiętymi żaglami, jakby dopiero co przybył, albo natychmiast miał odbić od brzegu.

W głębi zamyka widok róg małego drewnianego domu.

Widoczne okno zwrócone ku scenie. Za niem Walpurga stoi przy kantorowym pulpicie i pracuje.

Scena przedstawia gaj brzozowy.

Wokoło domu mnóstwo kwiatów. Domek robi bardzo miłe wrażenie.

W głębi po prawej i po lewej krzesła drewniane i dwa małe kamienne stoliki. Po prawej w głębi jedno krzesło stoi osobno, jakby ktoś wstał z niego przed chwilą.

SCENA I.

WALPURGA za oknem, TJALDE, PANI TJALDE, później SIGNE.

Gdy kurtyna się podnosi, scena jest pusta, — widać tylko Walpurgę za oknem.

Po chwili pojawia się Tjalde, wioząc przed sobą żonę w fotelu na kółkach.

PANI TJALDE. Znowu piękny dzień!

TJALDE. Cudowny dzień! Na morzu dziś w nocy nie było ani jednej fali. Kilka parowców, jeden żaglowiec, ten właśnie, który tu przybył, kilka łodzi rybackich, cicho i zwolna dążących do brzegu.

PANI TJALDE. A jaka to burza była przed dwoma dniami!

TJALDE. Tak. Podobna do tej, która przed półtrzecia rokiem spotkała nas i zmieniła bieg naszego życia. Dziś w nocy myślałem o tem długo.

PANI TJALDE. Siądź tu koło mnie.

Tjalde. A nie puścimy się dalej, na naszą codzienną wyprawę?

Pani Tjalde. Słońce zanadto pali.

Tjalde. Mnie nie.

Pani Tjalde. Ale mnie jest za gorąco. Otwarcie mówiąc: chciałabym módz patrzeć się na ciebie...

Tjalde (*bierze krzesło i siada*). Ha, więc przypatrz mi się!

Pani Tjalde (*zdejmuje mu kapelusz i ociera jego spocone czoło*). Spocił się mój kochany! Ale nigdy nie był taki ładny, jak teraz!

Tjalde. Musi ci to być bardzo przyjemne, bo teraz masz dosyć czasu, ażeby mi się przypatrywać.

Pani Tjalde. Czy dlatego, że mi tak ciężko chodzić?... Tak, to już moja przebiegłość, umyślny wynalazek, żebyś mnie musiał wozić w tym fotelu.

Tjalde (*wzdychając*). Tak, moja droga, dobrze, że się tak wesoło na to zapatrujesz. Ale że ty jedna tylko tak ciężko pokutować musisz za skutki owych nieszczęsnych czasów...!

Pani Tjalde (*przerywa mu*). A o swoich siwych włosach zapomniałeś?...

To także pamiątka, — chociaż piękna!... A co do mojej choroby — wiesz, że za nią codziennie Bogu dziękuję! Najpierw nie sprawia mi to prawie żadnych bólów, a po drugie daje mi to więcej sposobności cieszenia się waszem przywiązaniem i troskliwością.

Tjalde. A więc zadowolona jesteś z tego, co dziś mamy?

Pani Tjalde. Zupełnie — jest tak, jak o tem zawsze marzyłam.

Walpurga (*w oknie*). Bilans gotowy!

Tjalde. Czy nie wypadło tak, jak przewidziałem?

Walpurga. Co do joty! Czy wpisać go zaraz do księgi głównej?

Tjalde. Widocznie sprawia ci to wielką radość, że trzeba się z tem tak śpieszyć?

Walpurga. Rozumie się! Taki interes!

Tjalde. A przecież i ty, i Sannas stanowczo byliście przeciwni!

Walpurga. I to jeszcze takie dwie mądre głowy!

Pani Tjalde. Tak, moje dzieci, ojciec zawsze będzie waszym mistrzem.

Tjalde. No... Zawsze to co innego być wodzem małego korpusiku, który

idzie naprzód, niż wodzem wielkiej armji, która się cofa (*Walpurga zaczyna wpisywać do księgi głównej poszczególne pozycje*).

Pani Tjalde. A przecież tak trudno nam było pogodzić się z losem.

Tjalde (*sam do siebie*). Tak, tak... Tak, tak...

Pani Tjalde. Serce nie chce się oderwać od tego, do czego się raz przywiązało.

Tjalde. ...Nawet jeśli to było kłamstwem!...

Pani Tjalde. ...I nazywa upokorzeniem to...

Tjalde. ...co nas podnosi i oczyszcza. Tak to jest, Nanno!... O wszystkiem tem myślałem dziś w nocy... Gdyby on był wtedy wysłuchał mej prośby — coby się teraz z nami działo? — Widzisz, to pytanie chodziło mi bezustanku po głowie.

Pani Tjalde. Zapewne to, że nareszcie udało się nam zawrzeć układ z wierzycielami, obudziło w tobie te wszystkie myśli?

Tjalde. Pewnie.

Pani Tjalde. Od wczoraj, od kiedy

Sannas odjechał, ażeby odebrać wszystkie dokumenty, nie mogę myśleć o czem innem. Przyznaję się otwarcie. Bo też to jest dzień nadzwyczajnie ważny!... Jak myślisz? Kiedy Sannas może być z powrotem?

TJALDE (*patrząc na zegarek*). Lada chwila... Jestem ogromnie ciekawy, jakie nowiny przywiezie!

PANI TJALDE. Signe pracuje z zapałem, żeby nam na dziś przygotować wspaniały bankiet... Chce pokazać, co umie!... Otóż i ona!

TJALDE. A ja zajrzę do obliczeń Walpurgi (*przystępuje do okna*).

SIGNE (*w ubraniu do gotowania*). Mamo! Musisz skosztować rosołu (*podaje jej filiżankę i łyżeczkę*).

PANI TJALDE. Doskonały, dziecko moje!... Możeby można trochę... Ale nie... jest doskonały. Ty to umiesz!

SIGNE. Prawda?... Czy Sannas prędko wróci?

PANI TJALDE. Ojciec mówi, że lada chwila.

TJALDE (*przy oknie*). Nie... To ja już wolę wejść do środka (*wychodzi w lewą*

stronę; wkrótce widać go w pokoju, koło Walpurgi).

PANI TJALDE. Dziecko moje! Chciałabym cię o coś zapytać.

SIGNE. Doprawdy?

PANI TJALDE. Co to za list wczoraj odebrałaś?

SIGNE. Ha, ha. Spodziewałam się tego!—Nie powiem!

PANI TJALDE. A więc nic przykrego?

SIGNE. Spałam całą noc jak suseł... Sama osądź!

PANI TJALDE. To mnie cieszy... Mimo to jednak zdaje mi się, że wesołość twoja jest trochę wymuszona i nieszczera...?

SIGNE. Tak? Zdaje mi się, że nigdy nie przestanę się wstydzić!... Ot i wszystko!

PANI TJALDE. Bogu dzięki!

SIGNE (*ożywiona*). To z pewnością Sannas... Słyszę turkot... Tak, to on. Trochę za wcześnie wrócił. Prędzej niż za pół godziny obiad nie będzie gotowy.

PANI TJALDE. To też wcześniej nie siądziemy do stołu.

SIGNE. Papo! Sannas przyjechał!

Tjalde. O, to dobrze! Idę już! Idę! (*Signe wychodzi w lewą stronę, Sannas wchodzi z prawej*).

SCENA II.

Sannas, Tjalde, Pani Tjalde, Walpurga w oknie.

Tjalde i Pani Tjalde. Witamy!

Sannas. Witam! (*rzuca szybko na krzesło w głębi płaszcz od pyłu i torbę podróżną, podchodzi na przód sceny*).

Tjalde. A więc?

Sannas. No... Historja cała skończona!

Tjalde. A koniec jaki?

Sannas. Mniej więcej taki, jakeśmy się spodziewali.

Tjalde. A więc mniej więcej wszystko załatwione tak samo, jak pisał adwokat Berent?

Sannas. Zupełnie tak samo... z wyjątkiem kilku drobiazgów. Zresztą pan sam przekona się najlepiej (*podaje mu plik papierów*). Wysokie ceny i dobra admi-

nistracja—więc stopniowo zmienił się cały stan interesu.

TJALDE (*przegląda papiery, szukając ostatecznych sum*). Deficyt 60,000 talarów. Bogu dzięki i chwała! (*Chwyta żonę za rękę i całuje ją*).

SANNAS. W pańskiem imieniu złożyłem oświadczenie, że pan będzie się starał spłacić i tę kwotę... ale w sposób zupełnie już od pana zależny co do terminu i tak dalej. A potem....

TJALDE. Co?

SANNAS. ...od razu spłaciłem część kwoty należnej jeszcze od pana, Jakobsenowi...

PANI TJALDE. Bogu dzięki!

TJALDE *oblicza coś ołówkiem na marginesie oddanych mu przez Sannasa dokumentów*.

SANNAS. Wszyscy byli zupełnie zadowoleni i... wszyscy kazali panu złożyć najpiękniejsze ukłony.

PANI TJALDE. Ach tak... gdy się komu dobrze powodzi, wtedy...

TJALDE (*skończywszy obliczenia*). Jeżeli interes nasz pójdzie tak dalej, jak dotychczas, to wie pan, że za jakie dwa-

naście, najwyżej czternaście lat, spłacę wszystko.

PANI TJALDE. Nie o wiele dłużej żyć będziemy, mój Hermanie!

TJALDE. W takim razie umrzemy bez majątku, na co nie będziemy się chyba skarżyli!

PANI TJALDE. Nie! Z pewnością nie! Dobre, uczciwe imię, pozostawione w spadku dzieciom, ma o wiele więcej wartości.

TJALDE. A zresztą pozostawimy im rozwinięty interes, który będą mogły dalej prowadzić, jeżeli zechcą.

PANI TJALDE (*zwraca się do Walpurgi*). Słyszałaś dziecko?

WALPURGA (*w oknie*). Wszystko słyszałam! Wszystko! (*Sannas wita się z nią*). A teraz pójdę do Signy, żeby jej to wszystko opowiedzieć (*wychodzi*).

PANI TJALDE. Cóż na to mówił Jakobsen?—ten uczciwy Jakobsen?

SANNAS. Był bardzo wzruszony — jak zwykle. Pewnie dziś jeszcze tu do nas zajedzie.

TJALDE. A mecenas Berent? (*znowu przegląda papiery*).

SANNAS. Jedzie tu z pewnością bezpośrednio za mną... Kazał się kłaniać i powtórzyć to panu.

TJALDE. To cudownie! — My mu dużo zawdzięczamy!

PANI TJALDE. Tak. Był on wiernym przyjacielem... Ale—skoro mówimy o dobrych przyjaciołach — panie Sannas ja mam się pana o coś zapytać... ale to będzie dziwne pytanie.

SANNAS. Mnie?

PANI TJALDE. Służąca powiedziała mi, że pan wyjeżdżając wczoraj, wziął z sobą przeważną część swych rzeczy. Czy to prawda?

SANNAS. Tak...

TJALDE. Co to ma znaczyć?... I o tem nic nam nie powiedziałaś?

PANI TJALDE. Bo sądziłam, że to jakieś nieporozumienie. Ale teraz muszę się pana zapytać, co to ma znaczyć?... Wybiera się pan w jaką podróż?

SANNAS *chwyciwszy ręką poręcz krzesła, przesuwa po nim palce nerwowo.*

TJALDE. Dokąd? Nic pan mi nigdy o tem nie mówił?

SANNAS. Rzeczywiście, nie mówiłem...

Ale to zawsze było mojem postanowieniem, że dzień, w którym nareszcie interesy dawnej firmy będą zlikwidowane, — będzie także ostatnim dniem pobytu mego tutaj.

TJALDE) (*równocześnie*). Pan
PANI TJALDE) nas chce opuścić?

SANNAS. Tak.

TJALDE. Ależ dlaczego?

PANI TJALDE. I dokąd pan się chce udać?

SANNAS. Do Ameryki. Do krewnych. Teraz, nie wyrządzając już szkody naszemu interesowi, mogę zwolna wycofać z niego włożony kapitał i zużytkować go za morzem.

TJALDE. A więc pan chcesz rozwiązać naszą spółkę?

SANNAS. Przecież pan miał zawsze zamiar dać tej spółce swą dawną firmę?

TJALDE. Tak... Rzeczywiście... Ale... Panie Sannas!... Co to ma znaczyć? Co pana spowodowało do tego postanowienia?

PANI TJALDE. Czy panu tu źle między nami? Między ludźmi, którzy są dla pana życzliwi?

Tjalde. Pan ma tu przecież te same widoki na przyszłość co w Ameryce.

Pani Tjalde. Trzymaliśmy się razem w złych czasach, — dlaczego więc nie mamy się trzymać razem i w dobrych?

Sannas. Ja państwu tyle zawdzięczam...

Pani Tjalde. Mój Boże! To my,—my panu o wiele więcej zawdzięczamy, — bez porównania więcej.

Tjalde. ...Więcej, niżbyśmy mogli odpłacić się kiedykolwiek (*z wyrzutem*). Panie Sannas!

SCENA III.

Tjalde, Pani Tjalde, Walpurga, Sannas, Signe.

Signe (*przebrała się już*). Mamo! — Papo!—Jakże się cieszę. (*Całuje obojc*) Witam pana, panie Sannas!... Ale wy się wcale nie cieszycie tak szczęśliwem zakończeniem?... Co?... (*Milczenie*).

Walpurga. Co się stało?

Pani Tjalde. Pan Sannas chce nas opuścić, dzieci!

(*Milczenie*).

SIGNE. Ależ panie Sannas!

TJALDE. Dlaczego pan nigdy dotychczas ani słówkiem nie wspomniał o tem? Dlaczego dopiero w ostatniej chwili, tuż przed samym odjazdem?... A może ktokolwiek z was słyszał już co o tem?

PANI TJALDE *przecząco porusza głową.*

SIGNE. Nie!

SANNAS. Bo... bo... Ja chciałem w ostatniej chwili, przed samym odjazdem powiedzieć to panu... Sądziłem, że w ten sposób łatwiej mi to pójdzie, że inaczej nie potrafiłbym.

TJALDE. Ależ pan musisz mieć jakąś poważną przyczynę po temu!... Czy panu kto wyrządził jaką przykrość?... Czy stało się cośkolwiek, co pana do tego przymusza?

SANNAS *milczy.*

PANI TJALDE. Czy pan nikomu z nas nie może się zwierzyć?

SANNAS. Chciałem to zachować w tajemnicy.

(*Milczenie*).

TJALDE. To tem przykrzejsze i tem gorsze. Tu, w tem naszem małem kółku, w którem nikt przed panem nie miał

tajemnicy, — pan mogłeś żyć, nosząc się z utajonem postanowieniem?

SANNAS. Niech pan mnie tak surowo nie sądzi! Niech pan mi wierzy, gdyby to było możliwe, pozostałbym, a gdybym mógł wypowiedzieć wszystko, tobym nic nie zamilczał. (*Milczenie.*).

SIGNE (*półgłosem do matki*). Może on się chce żenić?

PANI TJALDE. A czyż nie może się żenić, pozostając mimo to z nami? Tą, którąby on pokochał, pokochalibyśmy z pewnością wszyscy!

TJALDE (*przystępując do Sannasa, kładzie mu rękę na ramieniu*). Może pan nie chcesz przed wszystkimi się wypowiedzieć — zwierz pan się przed którem-kolwiek z nas! Czy niczem nie możemy zaradzić temu?

SANNAS. Nie.

TJALDE. Czy pan sam może o tem sądzić? Często człowiek nie wie, jak dobre i pożyteczne mogą być rady i doświadczenia życzliwych!

SANNAS. Niestety, jest tak, jak ja panu powiedziałem.

Tjalde. W takim razie musi to być coś nadzwyczajnego?

Sannas. Proszę pana!

Tjalde (*odchodząc od niego*). Nie tylko to, że pan nas opuszcza... Ale widzę, że pana przygniata jakiś ciężar bardzo bolesny i bardzo smutny!... I to nas wszystkich martwi nadzwyczajnie!

Pani Tjalde. Nie może pan tego przynajmniej napisać? Widzi pan, jak wszyscy jesteśmy strapieni...

Tjalde. ...i nie wiemy o co idzie!

Sannas. Tak! Ja to państwu napiszę, później! Ale teraz dajmy temu pokój! Proszę mi wierzyć — nikomu to takiego bólu nie sprawia, jak mnie samemu!— Ale tak być musi!

(Milczenie).

Tjalde. Tak! Panie Sannas! Ta wiadomość zepsuła nam zupełnie radość dnia dzisiejszego. Mnie pana będzie brakowało—tak, jak nikogo jeszcze...

Pani Tjalde. Co do mnie — nie mogę sobie wyobrazić naszego domu bez pana!

Tjalde. Moja droga, może wejdziemy do domu?

Pani Tjalde. Dobrze. Tu mi już nic

nie sprawia przyjemności. (*Tjalde popycha w prawą stronę fotel, na którym siedzi jego żona*).

SIGNE (*chce wziąść Walpurgę pod rękę i odejść z nią razem, ale gdy spojrzała w twarz siostry, przytłumiony okrzyk wyrywa się z jej piersi. Walpurga chwyta ją za ramię. Ich oczy spotykają się*). Że też ja się tego nie domyśliłam! (*Odchodzi, patrząc na Sannasa i Walpurgę*).

SCENA IV.

WALPURGA, SANNAS.

SANNAS *poddaje się trapiącej go trosce, chce odejść; ujrzawszy Walpurgę, opanowywa się odrazu; twarz jego przybiera wyraz chłodu i obojętności.*

WALPURGA (*z wyrzutem*). Panie Sannas?

SANNAS. Co pani każe?

WALPURGA (*odwraca się od niego, potem znów zwraca się ku niemu, ale nie patrząc mu w oczy*). Czy pan rzeczywiście chce nas opuścić?

Sannas. Tak, proszę pani.

(Milczenie).

Walpurga. I już nie będziemy stali przy naszych pulpitach, — razem w jednym pokoju, odwróceni do siebie plecami?

Sannas. Nie będziemy, proszę pani!

Walpurga. To mi bardzo przykro... tak się do tego przyzwyczaiłam.

Sannas. Przyzwyczai się pani niedługo do kogo innego.

Walpurga. Ktoś inny... będzie zawsze kimś innym.

Sannas. Wybaczy pani, ale ja dziś wcale nie jestem usposobiony do żartów (*chce odejść*).

Walpurga (*podnosząc oczy ku niemu*). Czy takie ma być nasze pożegnanie?

(*Milczenie*).

Sannas (*stojąc zdaleka od niej*). Miałem zamiar popołudniu pożegnać całą rodzinę pani.

Walpurga (*przystępując ku niemu o krok*). Ale czy my nie powinniśmy przedtem powiedzieć sobie wzajemnie wszystkiego?

Sannas (*zimno*). Nie, proszę pani.

WALPURGA. Czy pan sądzi, że pomiędzy nami zawsze wszystko było tak, jak być powinno?

SANNAS. O nie! Ja tak nie sądzę!

WALPURGA. Ale pan sądzi, że wina jest z mojej strony?... W takim razie wszystko inne jest obojętne!

SANNAS. Chętnie biorę winę na siebie... Stało się już i nie odstanie.

WALPURGA. A gdybyśmy się tak podzielili tą winą? Przecież panu nie może być obojętne, kto z nas zawinił?

SANNAS. Przyznaję się otwarcie, że mi to nie jest obojętne. Ale — jak już powiedziałem — nie życzę sobie dyskusji w tej sprawie.

WALPURGA. Ale ja sobie jej życzę.

SANNAS. Będzie pani miała jeszcze dość czasu do zastanowienia się nad całą kwestją.

WALPURGA. Kwestji wątpliwej nikt sam rozstrzygnąć nie może.

SANNAS. Ja jestem innego zdania.

WALPURGA. Ale jeśli ja nie jestem tego samego zdania?... Jeślibym ja uważała się za obrażoną.

SANNAS. Przecież powiedziałem już

pani, że jestem gotów przyjąć całą winę na siebie.

Walpurga. Nie, panie! Ja nie żądam łaski, tylko zrozumienia. Mnie to nie jest obojętne, co pan o mnie sądzi.

Sannas. Tak?

Walpurga. Więc pan myśli, że to mi jest obojętne?

Sannas. Tak sądziłem.

Walpurga. I z tem wyobrażeniem o mnie chce pan odjechać! (*odwraca się i zasłania oczy chustką*).

Sannas. Czy zrobiłem pani przykrość?

Walpurga. Nie.

(*Milczenie*).

Sannas. W takim razie możeby najlepiej było, gdybyśmy się teraz rozstali... A może pani chce mi jeszcze co zlecić?

Walpurga. Ja chcę tylko jedno pytanie panu zadać.

Sannas. Służę pani.

Walpurga. Dlaczego nam tak dobrze było razem w pierwszym roku — nawet i dłużej? Czy pan kiedy pomyślał o tem?

Sannas. Owszem... dlatego zdaje mi

się, żeśmy wtedy nie mówili o niczem innem, tylko—o interesach.

Walpurga. Pan byłeś moim nauczycielem...

Sannas. A gdy pani już mnie nie potrzebowała...

Walpurga. ...Wtedy cisza nastawała w kantorze.

Sannas (*półgłosem*). Tak.

Walpurga (*zwraca się ku niemu*). A czy to milczenie panu się nigdy nie wydało uroczem?

Sannas. Tak... Ale ono było sztuczne.

Walpurga. A z czego ono powstało?... Nie chce mi pan odpowiedzieć... Stąd, żeśmy oboje poczuli potrzebę rozmówienia się, a żadne z nas nie chciało najpierw zacząć.

Sannas. Tylko z tą różnicą, że pani doskonale wiedziała o mojej fałszywej sytuacji względem pani,... a mimo to nie starała się pani ulżyć mi w tem bynajmniej. Mnie to rozgoryczało, bo to było okrucieństwo.

Walpurga. Możeby się to dało także jeszcze inaczej wytłómaczyć, ale dajmy

na to... W każdym razie ja pierwsza przerywałam milczenie.

Sannas. Ale w jaki sposób!

Walpurga. A jakże miałam to uczynić?

Sannas. Wolałem milczenie, niż tę wesołość, — która była nieraz zupełnie niezrozumiała.

Walpurga. Może również zasługiwałaby na to, by ją inaczej wytłómaczyć... Ale dajmy na to! —A czy nie usiłowałam stać się panu bliższą w tej wesołości?

Sannas. Dajmy temu spokój, proszę pani! Wolałbym uniknąć tych wszystkich wyjaśnień... Ale chciałbym dorzucić tu jedną tylko uwagę—jeśli pani pozwoli.— Tyle tygodni, a raczej tyle miesięcy przebywaliśmy w jednym i tym samym pokoju, we dwoje tylko, sami jedni, że ostatecznie pani nie pozostało nic innego, jak zwrócić uwagę na tak marną osobistość jak ja. Ale ja wiedziałem i wiem doskonale, że w innych warunkach pani by nawet nie zauważyła mojej obecności i nie patrzyłaby pani na mnie wcale!

Walpurga. A więc dajmy spokój temu wszystkiemu!... Powinnam była to

przewidzieć! Powinnam była odczuć, że każdy objaw przyjaźni z mojej strony będzie przez pana lekceważony.

Sannas. Lekceważony! O nie, proszę pani! Czyż ja bym pani nie znał!

Walpurga. Tak. To kara za moje dawniejsze zachowanie się.

Sannas. Niech mię Bóg broni, żebym pani chciał krzywdę wyrządzić! Było w tym jedno uczucie, które pani zaszczyt przynosi: miała pani dla mnie litość. Ale to było zupełnie naturalne i przyjść musiało prędzej czy później...—Ale litości—proszę pani—ja nie przyjmuję!

Walpurga. A gdyby to nie była litość tylko wdzięczność?

Sannas *(półgłosem)*. Tego bałem się jeszcze bardziej!... Zostałem przecież ostrzeżony!

Walpurga. Przyzna mi pan jednak, że to trudna sprawa dać sobie radę z kimś takim, jak pan.

Sannas. Przyznaję to chętnie... Ale i pani przyzna, że nie mogłem łatwo uwierzyć w zainteresowanie się, które wynikło li tylko z przypadku. W innych warunkach byłbym panią strasznie nudził—

ja wiem... A być zabawką w braku lepszej,—nie chciałem i nie chcę!

Walpurga. Bardzo się pan myli! Właśnie dlatego, że pan nie zwraca uwagi na warunki, wśród których zbliżyliśmy się do siebie. Niech pan to właśnie uwzględni, — a przyzna pan, że kobieta, która żyła tylko dla przyjemności, podróżowała, obracała się w najwyższych sferach towarzyskich, — zmienić się musi zupełnie z chwilą, gdy zacznie pracować dla chleba i gdy ujrzy przed sobą poważne cele i obowiązki życiowe.

Wtedy zaczyna także i ludzi inaczej sądzić, inaczej się na nich zapatrywać. Ci, których uważała za największych i najlepszych maleją w jej oczach i tracą wartość, bo ona widzi, iż życie wymaga dzielności, wytrwałości i odmawiania sobie wszystkiego. A ci, którzy ongi wydawali się śmieszni i mali, rosną w jej oczach i stają się przedstawicielami mężnej dzielności i hartu ducha, skoro staną z nią do wspólnej pracy na chleb, i to w warunkach najcięższych... Czy to wydaje się panu dziwne?

(*Milczenie*).

Sannas. W każdym razie wdzięczny jestem pani za te słowa... one zmieniają wiele... Szkoda tylko, że mi pani tego dawniej nie powiedziała.

Walpurga (*z naciskiem*). A czy to było możliwe, skoro każde moje słowo, każdy mój czyn spotykał się z nieufnością i podejrzliwością? Napięcie nieporozumienia i niezrozumienia wzajemnego musiało wzrość do tego stopnia, żeby się stało nieznośnem, — dopiero wtedy... Ach! Bóg jeden wie co ja wycierpiałam!... Ale tak być musiało!... Gdyby pan chciał mnie zrozumieć!... Ja pana ongi nie rozumiałam—teraz zemściło się to na mnie! (*odwraca się od niego*).

Sannas. Być może, iż pani ma słuszność. Nie mogę w tej chwili uprzytomnić sobie wszystkiego, czuję jednak, że wiele momentów tej przeszłości widzę teraz w innem świetle!

Walpurga. Bogu dzięki, żeśmy przynajmniej do tego doszli... po walce trwającej przeszło pół roku.

Sannas. Ale koniec dzieło wieńczy. Dziękuję pani za tę rozmowę.

Walpurga. I na tem chce ją pan zakończyć?

Sannas. Tak, proszę pani! Skoro się omyliłem. Kiedyś sprawi mi to radość— w tej chwili myśleć o tem nie mogę. Teraz muszę jaknajprędzej opuścić ten zakątek! Mojego postanowienia zmienić to nie mogło.

Walpurga. Nie?! To co panu powiedziałam i co pan sam uznał za prawdę? Czyż nie ma to nic wspólnego z tem, co pana doprowadziło do decyzji rozstania się z nami?

Sannas. Nie! Myli się pani sądząc tak. Są jeszcze i inne przyczyny, które mnie zmuszają do wyjazdu... Przepraszam panią, ale mam jeszcze kilka spraw do załatwienia (*chce odejść i czyni kilka kroków*).

Walpurga (*przejmuje ją obawa, wzrastająca nieustannie*). Czy pan jest szczery w tej chwili?... Skoro pan przyznaje, że sąd pański o mnie był niesprawiedliwy—to czy mi się nie należy przynajmniej zadośćuczynienie?

Sannas. Ręczę pani, że myśląc o niej, żadnej krzywdy jej nie wyrządzę!...

W tej chwili jednak zastanawiać się nad tem nie mogę... Teraz muszę się przygotować do drogi (*znowu odchodzi kilka kroków*).

WALPURGA. Jeszcześmy nie skończyli... Ani w tej sprawie, ani w innej, dawniejszej...

SANNAS. Rozumie chyba pani najlepiej, jak przykra dla mnie jest ta rozmowa (*chce iść*).

WALPURGA. Nie odejdzie pan przecież, nię spełniwszy jednej mojej prośby? (*odległość pomiędzy nimi stała się już dość wielka*). Nie dawszy mi zadośćuczynienia za krzywdę mi wyrządzoną?

SANNAS. Czem mogę pani służyć?

WALPURGA. To bardzo dawna sprawa.

SANNAS. Jeżeli jest w mojej mocy błąd naprawić, z pewnością się nie cofnę.

WALPURGA. Jest w pańskiej mocy... Od owej pamiętnej chwili nie podał pan mi nigdy ręki...

SANNAS. Zwróciła pani na to uwagę?

(*Milczenie*).

WALPURGA (*uśmiecha się i odwraca od niego*). Czy poda pan mi rękę w tej chwili?

SANNAS (*zbliżając się o kilka kroków*). Czy to jest czemś więcej, niż chwilowym kaprysem?

WALPURGA (*opanowując wzruszenie*). I pan może się o to pytać?

SANNAS. Przez cały czas nigdy pani tego nie żądała.

WALPURGA. Sądziłam, że pan sam kiedyś z własnej woli poda mi rękę.

(*Milczenie*).

SANNAS. Skoro mówimy poważnie, to... nie chciałbym tego uczynić nie mając pewności, że... (*urywa*).

WALPURGA. Ja zupełnie poważnie o to proszę.

SANNAS (*zbliżając się jeszcze o parę kroków uradowany*). Czy pani rzeczywiście na tem zależy?

WALPURGA. Zależy mi na tem bardzo, bardzo!

SANNAS (*przystępując do niej*). To mnie cieszy! Oto moja ręka!

WALPURGA (*zwraca się ku niemu i chwyta go za rękę*). Rękę pańską, ofiarowaną mi w tej chwili, przyjmuję!

SANNAS (*blednąc*). Co to ma znaczyć?

WALPURGA. To znaczy, że dumną bę-

dę, stając się żoną mężczyzny, który od dziecka mnie—mnie jedną tylko—kocha i który wyratował z nędzy ojca mego i nas wszystkich!

Sannas. Boże! — Pani—och, Boże!

Walpurga. A pan chciałeś odjechać— wolałeś opuścić nas, niż oddać mi swą rękę — i to tylko dlatego, żeśmy pomocą twą nie wzgardzili — bo zdawało się panu, że to mogłoby wpłynąć na moje postanowienie, zmusić mnie do tego kroku! Nie pozostało mi więc nic innego, jak samej zrobić krok pierwszy, na który pan nie mogłeś się zdecydować!

Sannas (*klęka przed nią*). Pani!

Walpurga. Już dawniej przejrzałam, że kocham pana tak, jak pan na to zasługujesz,—jak zasługuje to najgorętsze serce, najszczerszy charakter, najtkliwsza dusza!...

Sannas. Nie! To za wiele! Tysiąckrotnie za wiele!

Walpurga. Dumną będę z tego, że zostanę żoną pańską! To było celem, do którego dążyłam! A za to, że ten cel osiągnęłam, dziękuję Bogu i panu... i czuję, że oddałabym życie swoje za pana.

Sannas. Nie mogę zdobyć się na odpowiedź, bo prawie nie słyszę co pani mówi. Od dziecka podziwiałem panią i nigdy nie ośmieliłem się pomyśleć nawet, że pani mogłaby... Nie, ja i teraz nie mogę uwierzyć... Uczyniła pani to z litości, że muszę odjechać, z urojonej wdzięczności, do której się pani poczuwa. A potem... tak długo razem pracowaliśmy...

Ofiarowuje mi pani to z dobrego serca. Ale tego, którýby pani był przeznaczony, nie spotkała pani jeszcze (*bierze i drugą jej rękę*). Niech mi pani nie przerywa! Tak, ja to odczuwam lepiej i prawdziwiej, bom dłużej nad tem rozmyślał...

Stoi pani bez porównania wyżej odemnie i uzdolnieniem i wykształceniem i stanowiskiem towarzyskiem i ogładą, — a źle jest, jeżeli żona przewyższa w czemkolwiek męża! Ja przynajmniej, za dumny jestem, by się zgodzić na podobny stosunek...

To, co w tej chwili pani uczyniła, świadczy o dziwnej piękności jej duszy i tej błogosławionej chwili nie zapomnę nigdy w życiu. Była pani tego życia jedyną radością i jedynym bólem. Przez

panią to życie było szare i ciężkie, ale — mój Boże — ten los dzieli ze mną wielu innych! Odtąd stanie się ono jasne i wesołe, bo wiem, że towarzyszyć mi będą w niem życzliwe myśli pani (*wstaje*).

Rozstać się jednak musimy — teraz tem bardziej, niż kiedykolwiek! Bo tego ja znieść nie mogę, a tamto w krótkim czasie stałoby się nieszczęściem dla nas obojga!... Niech mi pani nie odpowiada! Nie!—To co ja mówię, jest szczerą prawdą. Ja mogę lepiej sądzić, bo kocham panią za długo i za głęboko!

WALPURGA. Panie Sannas!...

SANNAS (*trzyma ją za ręce i nie daje jej przyjść do słowa*). Błagam panią, niech mi pani nie przerywa. Za dużo władzy pani ma nademną i mogłaby pani jej nadużyć! Bo złem byłoby—wielkiem złem — gdyby dwoje dobrych ludzi złączyło się w stosunku nieszczerym i zatruło sobie życie—może nawet znienawidziło się wzajemnie.

WALPURGA. Dajże mi pan...

SANNAS (*puszcza jej ręce i cofa się o krok, mówiąc stanowczo*). Nie! Mego postanowienia nic nie zdoła zmienić, bo

czuję w głębi duszy, że jest ono najsłuszniejsze. Wspólne pożycie z panią dałoby mi tysiące trosk, bo czułbym ciągle, żem pani nie równy.

A teraz rozstaję się z panią spokojny. Nie unoszę z sobą żalu ani goryczy. Teraz wszystko cośmy razem przeżyli—nawet i to najboleśniejsze — przemieni się w dobre, piękne wspomnienie... Niechaj Bóg weźmie panią w swoją opiekę i da jej szczęście!... Długie życie jest jeszcze przed panią.—Żegnam panią! (*raz jeszcze chwyta ją za obie ręce*).

Dziękuję pani!... Niech pani tam nie będzie, gdy przyjdę pożegnać się ze wszystkimi. Oniby się mogli czego domyśleć, a ja nie byłbym w stanie zapanować nad sobą! Żegnam panią! (*Zwraca się szybko i odchodzi w głąb sceny*).

Walpurga. Panie! Panie Sannas! (*biegnie za nim*). Ależ panie Sannas!!...

Sannas (*porywa płaszcz i kapelusz, który spadł na ziemię. Śpieszy się ogromnie, a podnosząc kapelusz i prostując się, uderza głową adwokata Berenta, który wchodzi właśnie wraz z Jakob-*

senem). Przepraszam pana! (*Wybiega w prawą stronę*).

SCENA V.

BERENT, JAKOBSEN, WALPURGA, później TJALDE.

BERENT. No! No! Czy to zabawa w ślepą babkę?!

WALPURGA. Tak,—na Boga,—rzeczywiście!

BERENT. Tak uroczyście nie potrzebuje mnie pani zapewniać. Przekonałem się o tem bardzo dotkliwie (*trzyma się za bok, w który go Sannas trącił głową i śmieje się*).

WALPURGA. Przepraszam pana... Ojciec jest (*wskazuje w lewą stronę i sama odchodzi na prawo*).

BERENT. Nie zbyt uprzejmie nas tu powitano?—Co?

JAKOBSEN. Nie... Zdaje mi się, żeśmy tu całkiem niepotrzebnie wpadli, panie mecenasie.

BERENT (*śmieje się*). Rzeczywiście, zdaje się... Ale co się tu właściwie działo?

Jakobsen. Kto to może wiedzieć?... Ale tak wygląda prawie, jakby się bili ze sobą... Takie mieli rozpalone twarze!...

Berent. Rozpalone twarze, powiadasz pan?

Jakobsen. Tak. Ale oto Tjalde (*zdziwiony*). Mój Boże! Jak on się postarzał. (*Cofa się coraz bardziej w głąb, podczas gdy Berent idzie naprzeciw Tjaldego*).

Tjalde (*do Berenta*). Witam pana! — Witam w naszym cichym zakątku! Witam tym razem jeszcze serdeczniej, niż zeszłego roku.

Berent. Bo tego roku interes idzie jeszcze lepiej, niż szedł w przeszłym! Moje serdeczne życzenia z powodu tak doskonałego zamknięcia rachunków,—a jeszcze bardziej z powodu decyzji spłacenia wszystkich długów!

Tjalde. Tak. Jak Bóg da, to...

Berent. Ależ świetnie idzie!

Tjalde. Tak. Do dzisiaj szło dobrze.

Berent. Najgorsze już minęło. Podwaliny położone,—a nawet mocno położone!

Tjalde. Ja to głównie panu zawdzięczam!

Berent. Kto sam sobie pomaga, łatwo temu dopomódz.

Tjalde. To mi nie mało odwagi dodało, że zdobyłem pańskie zaufanie, i że pan pozyskał mi zaufanie innych.

Berent. Nicbym sam nie wskórał, gdybyś pan był wszystko naprzód nie zrobił. Nie mówmy więcej o tem! No... Ależ tu coraz przyjemniej.

Tjalde. Staramy się upiększyć nasz zakątek jak można.

Berent. I wszyscy jeszcze jesteście razem?

Tjalde. Jak dotąd—wszyscy...

Berent. Ale a propos... Mam panu oświadczyć ukłony od tego... dezertera (*Tjalde zdziwiony*)... No... od tego porucznika kawalerji!

Tjalde. Ach!—Widział go pan?

Berent. Jechaliśmy razem statkiem... Na pokładzie była jakaś bardzo bogata panna.

Tjalde (*śmiejąc się*). No, no!...

Berent. Zresztą, mnie się zdaje, że nic z tego nie będzie. Z takimi rzeczami, to tak, jak na polowaniu. Jeżeli pierwsze — pudło, to już absolutnie cały

dzień na nic. Nic nie ubijesz.—Tak, tak. Szlachetna zwierzyna jest bardzo płochliwa.

Jakobsen *(podczas tej rozmowy starał się zbliżyć do Tjaldego. Nareszcie zbliżył się i stoi przed nim, zdjąwszy kapelusz)*. Jestem nędznikiem... tak, ja jestem nędznym człowiekiem!

Tjalde *(podając mu rękę)*. No, no, panie Jakobsen!...

Jakobsen. Ja jestem człowiek marny!... Ale się sam do tego przyznaję!

Tjalde. Więc odtąd bądźmy znowu przyjaciółmi. Czy pan wie, jaka to dla mnie nadzwyczajna rozkosz, że mogę nareszcie uporządkować nasze interesy?

Jakobsen. Ja słów nie mam... Mnie to ciąży na sercu. (*Ciągle ściska Tjaldego za rękę*). Pan jest... o wiele lepszy niż ja. I to powiedziałem mojej żonie, że Tjalde to człowiek honorowy (*wzruszony*).

Tjalde (*cofa rękę*). Zapomnijmy o złych chwilach, panie Jakobsen... pamiętajmy tylko o dobrych... Jakże tam idzie w browarze?

Jakobsen. O, tak sobie!... Jeżeli ludzie będą coraz więcej pili, to...

Berent. Pan Jakobsen razem ze mną tu przyjechał. To też bawiłem się doskonale przez całą drogę. Pan Jakobsen to oryginał.

Jakobsen (*do Tjaldego podejrzliwie*). Co on przez to rozumie?

Tjalde. Żeś pan jest inny, niż wszyscy ludzie.

Jakobsen. Ja nie wiem, czy on z pewnością tak myśli... Bo on przez całą drogę może się tylko mną bawił?...

Tjalde. Jakże pan może coś podobnego myśleć?—Proszę, może panowie wejdą do domu... Przepraszam, że ja wejdę pierwszy, ale żona moja jest cierpiąca i nie zawsze może przyjąć gości (*wychodzi*).

Berent. Zdaje się, że Tjalde nie jest w tak dobrym humorze, jakby się można było spodziewać.

Jakobsen. Tak?... Ja tego nie zauważyłem.

Berent. Może być, że ja się mylę... Ale mamy podobno iść za nim?

Jakobsen. Ja przynajmniej tak to zrozumiałem.

Berent. W takim razie musi mnie pan prowadzić.

Jakobsen. Służę panu mecenasowi!... Dla pani Tjalde, to ja zawsze mam cześć największą (*szybko dodaje*) i dla niego także,—rozumie się,—dla niego także!

Berent. Bo gdyby było inaczej, miałbyś pan ze mną do czynienia!... No, chodźmy!

Jakobsen. Tak. Chodźmy! (*Podczas rozmowy znalazł się po prawej stronie adwokata, śpiesznie przechodzi na lewą. Stara się usilnie dotrzymać kroku Berentowi, ale to udaje mu się z trudnością*).

Berent. Lepiej niech pan da spokój! Mnie nie łatwo kroku dotrzymać! — Nie łatwo!

Jakobsen. O... jakoś zajdę. (*Obaj wychodzą w lewą stronę*).

SCENA VI.

Sannas, Walpurga.

Sannas *wchodzi szybko z prawej strony, podchodzi ku lewej, ogląda się,* —

idzie na przód sceny, zwraca się znów stamtąd ku prawej stronie i staje za drzewem.

WALPURGA *wchodzi za nim, idzie ku przodowi sceny, ujrzawszy Sannasa uśmiecha się.*

SANNAS (*występuje z za drzewa*). Widzi pani! Znowu się pani ze mnie śmieje...

WALPURGA. Tak samo mogłabym płakać!

SANNAS. Pani się myli... Pani tylko tego tak wyraźnie nie widzi, jak ja.

WALPURGA. A kto przed chwilą się mylił?—I sam za to przepraszał?

SANNAS. To ja, rzeczywiście... ale to...

WALPURGA *(przerywając mu*). I jak pan się mylił! Prawie przez cały rok nie mógł pan mnie zrozumieć, — tak samo jak dzisiaj! — I czy potem mogłam uwierzyć panu, że to ja się mylę, a nie pan i że pan ma słuszność a nie ja?

SANNAS. To może się tak wydawać, ale...

WALPURGA *(przerywa mu znowu)*. Teraz niech pan mi nie przerywa... Przedtem nie dał przyjść mi pan do słowa,

a potem uciekł... Pan mówi, że ja stoję wyżej od pana...

Sannas. Pani wyrosła w innych warunkach... Przed panią otwiera się inna przyszłość...

Walpurga. Zapomniał pan znowu, że mnie teraz nie wolno przerywać.

Sannas. Przepraszam!

Walpurga. Pan najlepiej powinien o tem wiedzieć, że przed dwoma laty, gdy nasz wielki okręt rozbił się i tonął, mała łódź, przyczepiona do burty, wyratowała nas wszystkich. Przypomnij pan sobie także, że wtedy była na pokładzie jedna istota, która nie chciała dać się uratować! Ale pan chwyciłeś ją wtedy i wskazałeś jej obowiązek!

A potem, później, kto mnie nauczył pracować, kto mnie nauczył punktualności, porządku, odmawiania sobie wszystkiego i pokory? Kto przez cały ten czas stał wyżej, a kto stał niżej? A dziś? Czyś pan mi nie wskazał, że szlachetny człowiek poświęca nawet szczęście swoje, jeśli tego wymaga obowiązek!

Nie panie! Gdybym nie miała świadomości, że ten człowiek jest wyższy ode-

mnie, w takim razie musiałabym być niegodną jego! A tego pan o mnie chyba nie pomyśli!

Sannas. Ja wiem, że pani może zniszczyć mnie i wznieść w górę. Ale ja powinienem...

Walpurga *(przerywa mu)*. Nikt na świecie nie zdoła sprowadzić pana z drogi prawdy i obowiązku! Ale tego, co pan chce uczynić, nie uważa pan sam ani za prawdę, ani za obowiązek!

Sannas. Pani!... Każde słowo pani tworzy chaos w moich myślach... nie mogę przyjść do siebie...

Walpurga. Ja pana rozumiem... Ale co pan może mi odpowiedzieć?

Sannas. ...Sądzę, że wspólne pożycie dwojga ludzi oparte być musi na czemś więcej, niż tylko na wzajemnym szacunku...

Walpurga (*uśmiecha się*). ...także i na miłości?

Sannas. Pani mnie nie rozumie!... Czyby pani odważyła się wejść razem ze mną w jakiekolwiek towarzystwo? I nie zmieszałaby się pani przytem? Nie zawstydziłaby się pani? (*Walpurga*

uśmiecha się). Uśmiecha się pani!... Na samą myśl o tem, śmieje się pani!

Walpurga (*uśmiecha się*). Śmieję się, bo pan z drobnostek robi ważne kwestje!

Sannas. Ja jestem niezgrabny, nieociosany, — mnie strach bierze w każdem liczniejszem towarzystwie!... (*Walpurga znów się uśmiecha*). Widzi pani! Znowu się pani śmieje ze mnie.

Walpurga. A może jabym i w towarzystwie śmiała się z pana?

Sannas (*poważnie*). Nie! Tego by pani zrobić nie mogła, bo to by było krzywdą dla mnie!

Walpurga. Tymczasem, ja tak wysokie mam pojęcie o panu, że z tych drobnych niedoskonałości śmiać się trochę mogę... I nawet często to robię! Gdybym pana ujrzała w rzeczywiście wykwintnem towarzystwie, nie wiedzącego co z sobą zrobić... to uśmiechałabym się. Bo to byłoby rzeczywiście komiczne!

Ale gdyby wówczas ktokolwiek także się roześmiał, to w tej chwili oparłabym się na pańskiem ramieniu i dumną byłabym z człowieka, któryby mi to ramię podał... Ja wiem, kim pan jesteś, i ludzie,

i to towarzystwo wie o tem także! Bogu dzięki! Nietylko złe uczynki są głośne i znane wszystkim!

Sannas. Pani mnie upaja i oszałamia!

Walpurga (*przekonywująco*). Czy pan sądzi, że to pochlebstwo tylko! W takim razie przekonajmy się natychmiast. Przyjechał adwokat Berent, człowiek z najwyższych kół towarzyskich. Chce pan, żeby on swój sąd wypowiedział? Nic nie zdradzając, natychmiast wybadamy jego zdanie!

Sannas (*w zachwycie*). Nie chce niczyjego zdania, prócz sądu pani.

Walpurga (*w zachwycie*). Doprawdy? Skoro pan uwierzysz w moją miłość...

Sannas (*przerywa jej*). ...to wszystko inne wyda mi się tak znikome, małe, marne.... i ta miłość odrazu nauczy mnie wszystkiego, czego jeszcze nie umiem!

Walpurga. Popatrz mi pan w oczy!

Sannas (*chwyta ją za ręce*). Tak.

Walpurga. Czy pan sądzi, że jabym mogła kiedykolwiek wstydzić się pana?

Sannas. Nie! To niemożliwe!

Walpurga (*wzruszona*). Wierzy pan mi, że ja pana wysoko cenię?

Sannas (*rzuca się przed nią na kolana*). Tak!

Walpurga. Tak, że starczy nam na całe życie?

Sannas. Tak! Tak!

Walpurga. W takim razie pozostań przy mnie i oboje staniemy u boku rodziców naszych, a gdy ich nie stanie, zajmiemy ich miejsce! (*Sannas puszcza jej ręce i wybucha płaczem*).

Tjalde (*wszedł wraz z Berentem do kancelarji i pokazuje mu księgę główną. Przypadkiem spogląda i widzi Sannasa klęczącego u stóp córki. Wychyla się przez okno i pyta*). Co się stało?

Walpurga (*spokojnie*). Sannas i ja zaręczyliśmy się.

Tjalde. Nie może być? (*do Berenta zatopionego w księgach*). Przepraszam pana! (*Wybiega szybko z kantoru*).

Sannas (*podniecony nic nie widział i nie słyszał*). Przepraszam panią! Ale ja za długo i za ciężko walczyłem,—a teraz jestem zwyciężony! (*Odwraca się w najwyższym stopniu podniecony*).

Walpurga. A teraz pójdziemy do rodziców!

Sannas (*w głębi odwrócony od niej*). Jeszcze nie... za chwilę.

Walpurga. Otóż oni nadchodzą!

SCENA VII.

Walpurga, Sannas, Tjalde, Pani Tjalde, później Signe.

Tjalde. Posuwa fotel na kółkach, w którym siedzi jego żona. (*Walpurga śpieszy naprzeciw i klęka przed matką*).

Pani Tjalde *(półgłosem)*. Bogu dzięki i chwała!...

Tjalde *(podchodzi do Sannasa, bierze go w objęcia*). Synu mój!

Pani Tjalde. Więc dlatego on chciał odjechać?... (*Tjalde przyprowadza do niej Sannasa. Sannas klęka i całuje rękę pani Tjalde, potem zrywa się nagle i śpieszy w głąb*).

Signe (*wchodząc*). Mamo! Wszystko już gotowe!

Pani Tjalde. I tu także!

Signe (*ogląda się wokoło*). Nie może być?

Walpurga (*przystępuje do niej*). Nie

gniewaj się, żem ci nic nie mówiła! Ale ja wiedziałam, jaka mnie walka czeka... O mały włos a byłabym go straciła... A jeśli się niema pewności, to lepiej nic nie mówić!

Signe. Tak! Udało ci się ukryć przed nami!

Walpurga. Ukrywałam tylko przed wami długą wewnętrzną walkę... nic więcej!

Signe (*całuje ją i mówi szeptem kilka słów do ucha*, *potem zwraca się do Sannasa*). Panie! *(podchodzi ku niemu)* A więc będzie pan moim szwagrem?

Sannas (*zmieszany*). Proszę pani...

Signe. W takim razie z «panem» i z «panią» skończyć musimy!

Walpurga (*przystępując do nich*). Na to on się tak prędko nie zdecyduje! Przecież on i mnie ciągle jeszcze «panią» tytułuje!

Signe. Ale po ślubie chyba przestanie...

Pani Tjalde (*do męża*). Ale gdzie są nasi goście?

Tjalde. Berent jest w kantorze... Stoi w oknie!

Berent (*stoi w oknie, ma pince-nez na

nosie). Przyjaciel Jakobsen i ja natychmiast się zjawimy, żeby złożyć nasze życzenia (*wychodzi*).

Walpurga. Ojcze!

Tjalde. Co dziecko?

Walpurga. Gdyby nie było owego dnia nieszczęścia, nie byłoby też tak szczęśliwego jak dzisiaj! (*Tjalde ściska jej rękę*).

SCENA VIII.

Tjalde, Pani Tjalde, Signe, Walpurga, Sannas, Berent, Jakobsen.

Tjalde. Pozwoli pan przedstawić sobie narzeczonych (*uściski dłoni, życzenia*).

Berent. Muszę pani wyrazić najwyższe uznanie z powodu tego wyboru, a całej rodzinie winszuję takiego zięcia.

Walpurga (*tryumfująco do Sannasa*) A co!

Jakobsen. Ja jestem wprawdzie tylko prosty człowiek— ale ośmielę się zauważyć, że on już jako młody chłopak zakochany był w pani. — Ale doprawdy, nie

myślałem, że pani ma tyle rozumu, żeby jego wziąć za męża (*ogólny śmiech*).

PANI TJALDE. Tu ktoś mi szepcze do ucha, że obiad wystygnie.

SIGNE (*do Berenta*). Pozwoli mi pan w zastępstwie mamy zaprowadzić się do stołu.

BERENT (*podając jej ramię*). Z największą przyjemnością... Ale młodej parze należy się pierwszeństwo!

WALPURGA (*do Sannasa*). A więc.

SANNAS (*podaje jej ramię i mówi półgłosem*). A więc to prawda... Idziemy ręka w rękę. (*Berent i Signe idą za nimi, Jakobsen sam z tyłu*).

TJALDE (*zatrzymuje się chwilę, pochyla się nad żoną i mówi*). Nareszcie założyliśmy silne i trwałe podwaliny! Teraz jest błogosławieństwo w domu naszym.

PANI TJALDE. Hermanie!